

Irena Zarzycka

JAWNOGRZESZNICA

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII

Opracowano na podstawie edycji Towarzystwa Wydawniczego "RÓJ", Warszawa 1930.
Na okładce wykorzystano rysunek S. Norblina z okładki tegoż wydania.

ROZDZIAŁ I

— Dlaczego włożyłaś nową sukienkę?

— Ależ, ciociu, ta sukienka ma już trzy lata, a zresztą ciocia spodziewa się gości.

— To ja się spodziewam gości, a nie ty, rozumiesz, błażnico? Zdejmij suknię i żebyś mi nie ważyła się wejść do salonu... wstyd mi tylko robisz zawsze, wykręcając bezwstydnie oczy... Cóż to za uczesanie znowu... kokocie! Dlaczego jadalnia nie sprzątnięta?

— Miałam dużo lekcji, nie starczyło mi czasu.

— Twoje lekcje stoją mi już kością w gardle, od czasu jak chodzisz do szkoły, nic nie robisz, korzystasz z mojej krwawicy, moje córki nie mają się w co ubrać, a tobie szkoła w głowie... ale wiedz, że dla takich żebraczek szkoła to luksus. Marsz do kuchni pozmywać statki, służąca ma dość roboty.

W odpowiedzi Luiza trzasnęła drzwiami i pobiegła na strych do swojej ciasnej ciemnej komórki, zwanej górnolotnie *pokoikiem*, a tam, rzuciwszy się na kozetkę zastępującą łóżko, płakała rozpaczliwie. Po godzinie, uspokoiwszy trochę wybuch żalu i goryczy, usiadła przed małym lusterkiem i starannie jeła porządkować zwichrzone włosy. Wytarła splakaną twarzyczkę wodą kolońską i, wyciągnąwszy z ukrycia pod kozetką pudełeczko z pudrem, osypała gruntownie rozczzerwienione policzki. Obciągnęła potem sukienkę na zgrabnej, wężowatej figurce, wytarła ręce wodą kolońską i zeszła na dół.

— Aha! Panna raczyła przyjść nareszcie...

— Raczyła — brzmiała krótka odpowiedź.

— Proszę zabrać się do roboty... statki czekają...

Luiza wykrzywiła usteczka pogardliwym uśmiechem i poszła do kuchni, a zanurzywszy ręce w ciepłej wodzie, flegmatycznie obmywała talerze i talerzyki, myśl jej jednak pracowała bez przerwy... Jak zrzucić z siebie jarzmo znienawidzonej opiekunki, która traktuje siostrzenicę jak psa, nie zwracając uwagi na to, że dziewczyna ma już siedemnaście lat i powinna chyba wyjrzeć poza obręb kuchni,

Historia dziewczyny była bardzo smutna. Miała zaledwie cztery lata, gdy została sierotą. Ojciec jej, inżynier Jarocki, znany i bardzo w miasteczku ceniony człowiek, umarł pierwej... Luiza miała dopiero dwa lata... potem zaś straciła i matkę, zostając na opiece pani Liszewskiej, rodzonej siostry zmarłej. Liszewska bardzo niechętnie przyjęła sierotkę, ale takie było postanowienie rady rodzinnej. Istniał zresztą jeszcze jeden ważny powód, dla którego odmówić nie mogła. Oto zmarły Jarocki, na miesiąc przed swą śmiercią, pożyczył Liszewskiej dziesięć tysięcy złotych; był to prawie cały zapas kapitału, jaki sobie złożył, ale prośba, poparta wstawiennictwem żony i obietnicą *natychmiastowego zwrotu*, zrobiła swoje. Liszewska owych pieniędzy potrzebowała na kupno domu... Mając trochę swojej gotówki, dopożyczyła od naiwnej siostry i stała się właścicielką ładnego piętrowego domku. Tymczasem Jarocka po śmierci męża została niemal w nędzy, wszystko, co jeszcze miała, pochłonęły koszty choroby i pogrzebu... Zwróciła się więc do siostry z prośbą o oddanie pożyczonej sumy... ale tu spotkał nieszczęśliwą zawód. Liszewska odmówiła, tłumacząc się brakiem gotówki. W tym samym jednak czasie kupiła sobie eleganckie urządzenie jadalni i salonu... Pani Jarocka z małą Lulu była zrozpaczona.

Dwa lata przemęczyło się biedactwo, wreszcie suchoty dobiły wąty z natury organizm.

Całe miasteczko szemrało przeciw Liszewskiej, ale ona była bezpieczna. Dzięki swej chytrej, przewrotnej naturze i elokwencji, miała zaszczytne stanowiska we wszystkich społecznych stowarzyszeniach i nikt nie ośmielił się zabrać głosu przeciwko *pani mecenasowej* (mąż jej był emerytowanym sędzią). Dla zamydlenia oczu ludziom zabrała więc Luizę i odtąd dziewczynka zaczęła nowe, twarde, niegodziwe życie w towarzystwie dwóch kuzynek. Luizie nie wolno było ruszać ich zabawek, chodziła w starych znoszonych sukienkach i była kozłem ofiarnym rozpieszczonych laleczek.

Gdy trochę podrosła, prześladowana i wyszydzana w domu, uciekała na ulicę. I tutaj niespodziewanie znalazła tłum serdecznych przyjaciół. Nie było dziecka w miasteczku, które by nie kochało drobnej, bladej o tajemniczym uśmiechu i zgrabnych nóżkach dziewczyneczki, co wymyślała przedziwne i wspaniałe zabawy, między którymi najulubieńszą był *cyrk*. Bez drgnienia poskramiała stada „tygrysów i lwów”, była znakomitą akrobatką i tancerką, wzbudzającą okrzyki podziwu wśród „publiczności”. Rozdokazywane uliczne andrusiaki z dumą odgrywały swe krwiożercze role, wywracając straszliwie oczy i zgrzytając zębami... ale pogromczynie dawała sobie radę wspaniale... Czasem, gdy gromada wrzeszczących z radości bębnow przebiegała zawrotnym pędem przez miejscowy park, przechodnie stawali uśmiechnięci, wracając myślą w swe dzieciństwo.

A w tym czasie, gdy mała Lulu głodna i zziębnięta biegała po ulicach, *mecenasowa* wygłaszała odczyty, jak na przykład: *Obowiązki obywatelki, matki i patriotki, Opieka nad dzieckiem* itp.

Gdy Luiza skończyła dwanaście lat, zaczęła błagać ciotkę, by ta zapisała ją do szkoły, ale na razie nic nie wskórała. Ciotka oświadczyła, że nie ma pieniędzy. Ale obie jej córki, uczące się w domu, miały najdroższych i najlepszych nauczycieli. Wobec tego uparta dziewczynka poszła do dyrektora koedukacyjnego gimnazjum i poprosiła o posadę posługaczki w zamian za możliwość uczenia się.

Wzruszyło to bardzo poważnego człowieka i przy pierwszym spotkaniu z Liszewską wstawił się gorąco za Luizą.

Lulu wtedy dostała *lanie*, ale do szkoły poszła. Niespodziewanie zdała do trzeciej klasy, był to owoc przysłuchiwania się lekcjom kuzynek znacznie starszych i dość tępych. Mimo, że Liszewska nie pozwalała na obecność Luizy przy lekcjach, tłumacząc profesorom swoje stanowisko młodym wiekiem dziewczynki, a także jej ruchliwością, Lulu zawsze wkręcała się do szkolnego pokoju, pochłaniając każde słowo profesora.

Teraz zaczęła się dla dziecka ciężka, prawie ponad siły, praca. Ciotka odprawiła służącą i na głowie Luizy spoczęły wszystkie jej obowiązki... Jedynie kucharka ulitowała się czasem nad biedactwem, wyręczając ją we froterowaniu podłóg, zresztą mimo chęci nic więcej pomóc sierocie nie mogła, sama bowiem była zahukana przez Liszewską jak dorożkarska szkap. Lekcje więc Luiza odrabiała w nocy przy lichej świeczce, którą wypraszała u sklepikarza w zamian za stare zeszyty. Ciocia światła palić nie pozwalała dłużej jak do dziesiątej.

W szkole Luiza szybko została ulubienicą ciała pedagogicznego i rówieśników. Robiła świetne postępy, nie będąc zupełnie zarozumiała. Ruchliwa jak żywe srebro i przymilna jak kotka pociągała słodkim obejściem, niezwykłą czynnością i tym czymś nieuchwytnym, co było w każdym jej ruchu i spojrzeniu, a co wyróżniało ją z całego grona dziewcząt.

W stosunku do koleżanek Lulu była uczynna, ale bardzo nieufna i skryta. Powodem tego były jej kuzynki, których się bała. Nauczona smutnym doświadczeniem przypuszczała, że wszystkie dziewczęta są podobne do tamtych słodkich, a podstępnych, laleczek i dlatego przedkładała towarzystwo chłopców.

Lulu przechodziła z klasy do klasy, rosła i nabierała wdzięku, w którego aureoli była jak wróżka kradnąca serca młodzieży.

Nie miała nigdy ładnych sukienek z tej prostej przyczyny, że donaszać musiała garderobę po swych „miłych” kuzynkach, ale miała gust i ten pewien tak zwany dryg, dzięki któremu umiała sobie zrobić coś z niczego. I dlatego cokolwiek na siebie włożyła – było zgrabne i czystiotkie. Talent ów był kością w gardle i solą w oku ciotuni, która nie mogła nie dostrzec jaskrawej różnicy między swymi pięknymi, ale bez wdzięku i elegancji, pannami a tą smukłą, bladą dziewczynką.

Pewnego razu szkoła urządziła wielkie przedstawienie, w którym główną rolę powierzono Luizie... Dziewczyna wprowadziła w zdumienie publiczność, przełożonych i kolegów. Grała jak skończona artystka, tańczyła jak motyl i od razu podbiła wszystkie serca.

Od tego dnia wszystkie instytucje i stowarzyszenia rozrywały małą artystkę... Musiała brać udział w przedstawieniach i koncertach, co jej nie przeszkadzało w nauce, bo Lulu pracowała nadal całe noce; teraz już kupowała sobie naftę za własne zarobione pieniądze. Nierzadko bowiem wynagradzano Luizę pieniężnym honorarium... I tak Lu została ulubienicą miasteczka i królową młodzieży... ale mimo to nadal nigdzie nie bywała i nikogo nie przyjmowała. Nadal zmywała garnki i talerze, choć do pomocy miała popychła, wziętego dla dodania splendoru domowi, w którym są dwie córki na wydaniu. Ale w miarę jak Lu dorastała, ciotka zaczęła systematycznie zatruwać i zohydzać jej wszystko, co młodej dziewczynie może się podobać.

Gdy włożyła krótką sukienkę – Liszewska wpadała w furję:

— Bezwstydnico — kokoto! Jak śmiesz pokazywać ludziom nogi i żeby to jeszcze zgrabne, pokrako... Jaki przykład siostrze dajesz?

Spotkała ją raz w towarzystwie młodych ludzi.

— Ulicznicę wychowałam, hańbę mi przynosisz... żebraczko!

— Żebraczko? Chyba moje wychowanie nie kosztowało jeszcze sumy, którą ciocia pożyczyla od mojej matki. Ludzie w miasteczku mają dobrą pamięć!

Liszewska wtedy cisnęła w siostrzenicę doniczką, znacząc na jej białym czole – krwawą pręgę.

Ukończywszy osiem klas, Luiza wstąpiła na kursy buchalteryjne i tu zaczęła szerzyć spustoszenie wśród młodych ludzi... Teraz czyniła to zupełnie świadomie, na przekór ciotce, która wobec gości bywających w jej domu zniżala dziewczynę do roli popychadła będącego na łasce i ośmieszała ją wobec młodych panów, konkurujących o *córeczki mecenasowej*.

A gorąca, zrozpaczona dusza dziewczęca konała z tęsknoty za miłością... za sercem... Na tysiączne zakłęcia kolegów odpowiadała zagadkowym, smutnym uśmiechem... Była słodka, ujmująca i wesoła – ale nikt nie mógł się pochłubić posiadaniem jej serca. Gdzieś na dnie duszy sieroty wyryty był obraz bohatera... niby świętego Jerzego, co przyjdzie wyzwolić księżniczkę, by unieść ją w zaświaty... i dlatego czekała... czekała i patrzyła w przyszłość z nadzieją.

* * *

Do kuchni wtargnęła suknia koloru zupy pomidorowej i skrzekliwy głos uderzył zamyśloną panienkę.

— Co? do tej pory zmywasz?... Cóż za bezmyślne lenistwo... kończ prędzej, trzeba w salonie kurze ścierać.

— Czy nie mogą tego zrobić Haneczka lub Dzidzia?

— Oczywiście! Przecież ty tylko pragniesz, by im przyszłość i karierę złamać... kiedy się

ubierają na przyjęcie konkurentów, kazałybyś im ręce brudzić, to jest wdzięczność za opiekę i serce... Ale wiem, że to zazdrość przez ciebie przemawia, tak, bo o twoją rękę pies kulawy nie poprosi... takie panny za mąż nie wychodzą, co się z każdym po kątach wyściskują...

— Z nikim się nie ściszałam jeszcze, ale myślę, że za przykładem Dzidzi i Hani i tego się nauczę.

— Milcz... milcz... bydlaku... łajdaczko... masz... masz...

Dwa mokre zmywaki frunęły w stronę Luizy, która złapała je w powietrzu i wyszła z kuchni, pogwizdując. A potem, krążąc po salonie ze ścierką w ręku, obmyślała zemstę.

I wymyśliła.

Gdy o dziewiątej wieczorem w jadalni przy stole siedziała pani Liszewska z córkami oraz jakaś chuderława dziewczica i kilku młodych ludzi, zjawiła się Luiza i przywitawszy gości skinieniem głowy, jęła na przyniesioną tacę zbierać ze stołu chleb, bułki, kawałek pasztetu, poledwicę i wino.

— Co ty robisz, Luizo? — spytała zdumiona gospodyni.

— Proszę cioci, wujek przecież od obiadu nic w ustach nie miał... Siedzi zły i kazał mi przynieść kolację.

Liszewską o mało nie tknęła apopleksja, spojrzała piorunami na Luizę, ale ta była już w progu. Przeszła przez długi korytarz i zapukała do ostatnich drzwi.

— Proszę — usłyszała astmatyczne stękniecie.

Na fotelu przy biurku siedział zgarbiony, żółty, chudy starzec.

— A to ty, Lulu?... Co mi powiesz?... Przyniosłaś jedzenie dla staruszka... pocziwa duszo... tamta zagłodziłaby mnie... No... winko... Lulu, dobra jesteś... dobra...

— Niech wujcio prędko „wtrząsa”; pomogę się rozebrać... zagrzałam butelki do łóżka i przyniosłam lampę elektryczną... Jak ciocia pójdzie spać, to wkręcę i poczytam wujkowi.

Ale stary nie słyszał... jadł zajadle, łapczywie... i dopiero gdy wszystko zniknęło, odezwał się:

— Jesteś aniołkiem, Lulu... istna matka, żebyś się z nią ożenił, a nie z tą diabolicą, nie byłbym taki złamany dziś... mam przecież dopiero sześćdziesiąt cztery lata...

Wyszła dopiero, gdy ułożył się do łóżka, zamknęła drzwi na klucz, a klucz zabrała z sobą, bojąc się, by ciotka nie zrobiła starcowi awantury, ale sama jej nie uniknęła. Pani Liszewska wpadła do pokoiku siostrzenicy jak wulkan ziejący lawą wściekłości... ale panienka milczała jak mur, bo przecież dopięła swego.

I znów popłynął szereg dni jednakowych, pełnych ustawicznego terkotu ciotuni i zjadliwych ukłuc kuzynek... Gdy pewnego popołudnia dostała list, w którym miejscowe stowarzyszenie urzędników prosiło ją o wzięcie udziału w przedstawieniu na wpisy dla dzieci niezamożnych członków koła, Lulu przyjęła zaproszenie z radością, zwłaszcza, że otrzymała rolę bardzo efektowną.

Dziewczynka nie przypuszczała, że dzień przedstawienia będzie dla niej dniem nie tylko tryumfu, ale i pewnego przełomu w jej życiu.

ROZDZIAŁ II

Przy akompaniamencie szalonych oklasków i krzyków zadowolenia opadła kurtyna. Kazimierz Berger, korzystając z antraktu, przeszedł za kulisy. Uderzył go tu gwar zmieszanych, podniesionych głosów, zapach szminki, pudru i perfum. Gdzie zwrócił oczy – widział flirtujące na zabój pary... A poza tym wszyscy biegali i potracali się w niezbyt obszernym pomieszczeniu. Otoczył przybyłego rój młodych i przeważnie ładnych panien, żadnych pochwał i komplementów, ale Berger, uśmiechając się i flirtując ze wszystkimi, jedno miał tylko pragnienie: zobaczyć bohaterkę dzisiejszego wieczoru – Luizę Jarocką, zobaczyć ją z bliska. Na razie jednak był tak otoczony, że nie mógł jej nawet oczyma poszukać. Nagle w pewnej chwili doznał wrażenia, że ktoś na niego uporczywie patrzy. Odwrócił głowę i spotkał się ze wzrokiem Luizy. Stała na progu garderoby. Biała atlasowa suknia szczelnie otulała wiotką postać... koło stóp falował długi tren.

W tej samej chwili przez różnorodny gwar przeciął się ostro głos dzwonka. Otaczająca Berbera młodzież pierzchła z piskiem, jak stado kolorowych ptaków... Luiza jednak została na miejscu. Zaraz też przyćmiono światło i korytarzyk pogrążył się w miękkim różowym półmroku. Berger nie zrobił ni kroku naprzód, utkwiał tylko wzrok w jasnej postaci dziewczyny.

A więc to była ta słynna Lu, bogini całej miejscowej młodzieży... Lu, która wśród koleżanek miała opinię wyrafinowanej kokietki... Lu, która porywała i czarowała publiczność... Słyszał już o niej tyle... na ulicy widywał ją często, ale nie mógł się zbyt dobrze przyjrzeć, nie wiedział nawet, czy była w istocie ładna. Miała tylko prześliczne lekkie, płynne ruchy i zawsze chodziła w towarzystwie męskim, co niezbyt dobrze o pannie świadczyło.

Zachęcony przez kolegów poszedł na przedstawienie i doznał silnego wrażenia. Lulu była wzruszająca... Tu za kulisami spodziewał się zastać dziewczynę w jakiejś cynicznej pozie, rozbawioną i rozflirtowaną... tymczasem...

Lulu stała wciąż spokojnie, oparta o framugę drzwi i wpatrywała się w chłopca ciemnymi, lśniąco-ciemnymi oczyma. Jakaś nieznaną gwałtowną siłą pchnęła go naprzód. Podszedł blisko i skłoniwszy się, rzekł niepewnym głosem:

— Pani pozwoli... Berger jestem... chciałem bardzo panią poznać i powinszować. Słyszałem też o pani dużo.... — zamilkł i wpatrzył się ciekawie w bladą, o nieregularnych rysach i kapryśnie zarysowanych brwiach twarzyczkę. Na oczy spadała niesfornie ciemna o złotorudych połyskach czupryna. Ale gdy odgarnęła loczki i podniosła oczy, na twarz padał i rozświetlał ją cudownie tajemniczy urok. Podłużne oczy, ciemnoszare, migotliwe zielonymi błyskami, ocienione gęstym, czarnym puchem, przedziwny miały wyraz. Jakaś uśmiechnięta tęsknota wyglądała z ich lśniącej głębi. Jakieś zamyślenie czy zapatrzenie się w dalekie nieznane krainy. I spojrzawszy raz w te dziwne oczy – trzeba było do nich wracać mimo woli. Dopiero teraz nasuwały się uwadze maleńkie, dziecinne i różowe uśmiechnięte usteczka.

Kazik milczał jak urzeczony, wpatrując się w twarzyczkę Luizy. A i ona dopiero po chwili odrzekła trochę drżącym głosem:

— I ja również słyszałam o panu. Znam pana nawet z widzenia... ale... proszę mi się tak nie przyglądać, nie lubię. Pan się spodziewał zastać mnie inną, prawda?

— Tak, pani... ale doznałem miłego zawodu,
Cisza, wśród której uderzyły się spojrzeniami dwie pary oczu.

— I ja bardzo chciałam pana poznać... — Powiedziała to cichym, nieśmiałym głosem i opuściła powieki. Znow długa chwila ciszy. Kazimierz spostrzegł, że pierś dziewczyny faluje... Owionął go czar niepowszedni, coś w duszy drżało... Od tej białej postaci szedł drażniący, przemożny prąd.

— Nie przypuszczałem, że pani tak doskonale wczuje się w rolę dumnej królowny. — Znow podniosła i wnet opuściła oczy, jakby nie mogąc wytrzymać jego wzroku, co go dziwnie rozmarzało.

— Bo ja naprawdę zapomniałam, że jestem roztrzepaną małą Lu. Tam na scenie, i nawet teraz, ciągle mam wrażenie, że ja, ta prawdziwa, najprawdziwsza to właśnie dziś, a na co dzień zakładam maskę.

— Czyli, że pani jest królowną, która czeka na miłość....

Chwila milczenia... spojrzenie skroś rzęsy i nieśmiały głosik:

— Która szuka miłości...

— A w międzyczasie flirtuje z wielbicielami...

— Dlaczego pan chce mi dokuczyć? — spytała cichym, pełnym żalu głosem i wpatrzyła się w niego słodkimi, tęsknymi oczyma.

Chłopak stracił panowanie nad sobą. Podniósł niespodzianie jej rękę do ust i przytrzymał długo. Luiza zamknęła oczy, pierś falowała lekko. Jakże była cudna.

— Panno Luizo, musimy się jutro zobaczyć... koniecznie... proszę...

— Dobrze... tymczasem odchodzę, już pewno kolej na mnie.

Skinęła mu głową i odeszła w boczne kulisy.

Potańczał. Co się stało? On, dumny, nieprzystępny Kazik, od razu uległ czarowi dziewczyny, która miała tak nieszczególną opinię, Rozmowa z nią wydała mu się snem. Umówili spotkanie, ale gdzie... kiedy?

Wrócił na salę i wpił oczy w białą, smukłą postać Lu, rozmyślając:

Jakaś ty naprawdę, dziewczynko, urocza, czy jesteś taka, jaką cię przedstawiają... Lu, blada, tajemnicza Lu, kiedy mówisz prawdę, kiedy kłamiesz?!

Tego wieczoru już się z nią nie widział. Wrócił do domu zdenerwowany i podniecony. Chciał wiedzieć prawdę i chciał ją widzieć taką, o jakiej marzył. Chciał, by Lu była czysta i niewinna, jak jej oczy. Miał pewność, że przeznaczenie związało ich z sobą pajęczo cieniuchną niteczką, a co będzie dalej? Jeżeli Lu okaże się niegodna jego miłości, odejdzie. W przeciwnym razie zdolny jest pokochać ją gorąco, tak jak dotąd nie kochał żadnej kobiety. Dlaczego właśnie ją – nie wiedział.

Kazimierz miał 19 lat, był trochę rozpieszczony i psuty przez kobiety. Skończył szkołę handlową, a teraz miał jechać na dalsze studia. Bardzo dużo czytał, znał dokładnie literaturę francuską, niemiecką i rosyjską. Nad wiek rozwinięty i wyjątkowo inteligentny w towarzystwie czarował erudycją i elokwencją. Wygłaszał śmiałe poglądy i z dumą przyznawał się, że jest skrajnym lewicowcem.

Będąc całkowicie pod wpływem doświadczonych partyjników ciągnących młodzież pod pozorem wzniosłych haseł oraz ideałów na zgubne drogi przewrotu, przesiąknął na wskroś ich bolszewizującymi zasadami, które na szlachetnej duszy chłopca osiadły ciemnym nalotem. Pełen życia, energii i temperamentu oddał się całkowicie w ręce roznamiętnionych niby-ideowców, którzy dla swych brudnych celów nie wahali się operować najświętszymi ideałami ludzkości, w imię których ciągnęli ślepych młodzików za sobą. Berger stał się nawet dzięki swej inteligencji jednym z najpoważniejszych członków partii, z którego zdaniem trzeba się było liczyć.

Na kobiety patrzył z lekką ironią i nie miał dla nich szacunku. Ot, tak... zabawki miłe, a często i nudne. Był to wpływ kolegów. Sam nie miał z kobietami głębszych przeżyć. Parę flircików, parę pocałunków i koniec. Ale dziś doznał niespodziewanego wstrząsu... Obudził się w nim jakiś leciutki, drażniący niepokój, pełen przeczuć i oczekiwań. Położył się do łóżka, ale, gdy zamknął oczy, wypełniła mu ciemności blada twarzyczka i smukła postać Luizy.

A ona w ten sam wieczór siedziała długo w oknie i patrząc w usiane gwiazdami niebo, rozmyślała o dziwnym a gwałtownym drganiu serca idącego naprzeciw nieznanej jeszcze w życiu miłości.

Przypominała sobie tego wysokiego, ślicznego młodzieńca, gdy ujrzała go pierwszy raz. Wrzucała właśnie list do skrzynki pocztowej, Berger przeszedł obok i obrzucił ją ciekawym, trochę ironicznym spojrzeniem. Doznała wtedy niewytłumaczonej przykrości. Widziała go potem prawie co dzień, ale uparcie unikała tego ironicznego wzroku.

I wreszcie takie dziwne poznanie.

Zasnęła z uśmiechem na różowych subtelnym usteczkach.

Wstał jesienny, bladożółty, zamyślony, zapatrzonego w to, co już odeszło – dzień niedzielny. Przez aleje, zasypane szeleszczącą masą liści, szły tłumy ludzi w tę i w tamtą stronę. Spotykały się spojrzenia i uśmiechy. W czystym, chłodnym powietrzu słodko brzmiał głos dzwonów kościelnych. Dziwne są te jesiennie niedziele. Gdzieś ktoś w powietrzu niewidzialny uśmiecha się senną zadumą, gdzieś coś odchodzi i w duszę ludzką smutnymi spogląda oczyma, W szeleście liści pod stopami słychać z daleka odległą melodię, w której takt zaczynają kołysać się serca. Oczy szukają oczu z bezmierną pragnącą tęsknotą. Na kwiatach zamyślenia usypiają motyle wspomnień, bo z oddali idzie znów oczekiwanie czegoś wielkiego, co weźmie w niewolę zmysły, nerwy i serce.

Luiza wracała z kościoła i skierowała się w stronę parku. Do jej wrażliwej duszy natura mówiła jak istota ludzka. Lulu odczuwała każde jej drgnięcie i przeżywała wszystko sercem i nerwami. Teraz szła wolno, jakby uroczyście, na powitanie tego czegoś, co zawisło w przestworzach nad jej główką.

Natknęła się na obdartych gazeciarzy, którzy witali ją uprzejmie.

— Czekaście na mnie jutro rano... oddam wam śniadanie, dziś nic nie mam.

— A może panienka chce gazetkę... za darmo?

— Nie, dziękuję... ale ty smyku przyszyj sobie guzik, bo majtki gubisz. Przyniosę ci jutro nici... do widzenia, chłopcy.

To była wierna gwardia jej wielbicieli... Nieco dalej spotkała koleżanki, ale przeszła szybciej, skinąwszy tylko głową.

— Oho! Luiza ma randkę.

— Ciekawam z kim.

— Et, ona nie przebiera... Z pierwszym lepszym.

Obejrzały się za nią, gdy skręcała w boczną aleję parku i wzruszyła ramionami.

— Pewno będzie czekać na amanta.

— Doprawdy nie rozumiem, jak można tak się kompromitować... Przecież nie szkodziłoby to wszystko robić nieco oględniej... w ukryciu... ale tak na oczach ludzi... skandal!

— Ona jest nieobliczalna... i strasznie zarozumiała... myśli, że wszystko jej ujdzie... bo ona jest Luizą... Idiotka!

Ale nie zgadły, że Lulu będzie czekać na amanta, bo właśnie naprzeciw dziewczyny szedł Kazimierz. Przywitali się bez słowa, uściskiem ręki. On przybladł lekko. Utonęły w sobie ich oczy... wreszcie rzekł:

— Czuję, że pani tu będzie, że przyjdiesz tutaj, Lu!

— To dobrze.

I milczeli, bo coś dławiło im słowa w gardle. Kazimierz patrzył bez przerwy na bladą twarzyczkę Lu. Ona od czasu do czasu podnosiła śliczne, teraz trochę spłoszone oczy, ale wnet zasuwiała je ciemnymi firankami rzęs. Parę razy otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale widać było, że nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Usiedli na ławce w małej, pustej alei. Kazimierz ujął delikatnie obie wąskie, ciepłe dłonie dziewczyny.

— Lu, jak ty często kłamiesz...

— Nie kłamię nigdy!

— Czy mogę wierzyć w to, co mi mówią twoje oczy?

Bez słowa podniosła powieki. Pochylił się nad jej głową blisko... coraz bliżej.

Dziewczynie ucieka z twarzy ostatnia kropla krwi i nagle czuje, jak do jej ust przytulają się cicho i gorąco usta Kazika.

Gdy wreszcie podniósł głowę i spojrzał na nią, wyglądała jak uśpiona. Słyszał bicie jej serca.

— Lulu... powiedz mi co o sobie!

— Co opowiedzieć? — spytała lekko ochryplym głosem. — Jest mi tak jakoś... nie wiem co się ze mną dzieje.

— Szczęśliwa jesteś?

Uśmiechnęła się prześlicznie.

— Tak, znalazłam miłość!

— A przecież nic o mnie nie wiesz.

— To nic, czy koniecznie trzeba wiedzieć? Czuję, że musi przyjść do mnie coś wielkiego, że muszę znaleźć człowieka, do którego tęskniłam... i przyszedłeś!

— Lu, czy całował cię ktoś przede mną?

— Tak!

Drgnął i zagryzł wargi. Aha! Więc jest część prawdy w tym, co słyszał o Luizie.

— Czemu masz taką złą minę, gniewasz się na mnie?... To był muzyk, co mieszkał w ciotci domu... Tak cudnie grał, zawsze siadywałam pod drzwiami... raz zasnęłam, akurat wychodził i zauważył mnie. Poprosił do siebie, a potem powiedział, że mogę zawsze przychodzić, więc chodziłam. Ja tak kocham muzykę... ale raz powiedział, żebym spróbowała tańczyć, to co on zagra... Powiesił sobie lustro nad pianinem i patrzył, a potem wziął mnie na rękę i strasznie całował, uciekłam i nigdy już nie poszłam do niego... Od tego czasu nie całował mnie nikt, nie kochałam nikogo,.

— Dlaczego mówią o tobie, żeś wyrafinowana kokietka?

— Nie wiem... jestem zawsze taka, jak jestem. Smutno mi, że źle o mnie myślisz.

— Ja chcę cię kochać, Lu, i wierzyć, żeś inna od wszystkich kobiet, żeś jedna, jedyna. Tam wczoraj, w garderobie uderzyła mnie myśl nagła, że ty właśnie jesteś moją wybraną, wszystko, co o tobie słyszałem, rozplynęło się w blasku twych oczu.

— Jak ślicznie mówisz... nikt jeszcze nie mówił tak do mnie. Ty musisz być bardzo mądry i dobry. Chcę ci dać szczęście, będę się o to bardzo starać, stać się godną twojej miłości. Dziś nawet poszłam do kościoła, by podziękować dobremu Bogu, za szczęście, które mnie spotkało...

— Ty wierzysz, Lu?

— O tak, wierzę, bo kocham świat... widzisz, nawet te zeschnięte liście... Jakże więc nie kochać Tego, co jest Stwórcą najpiękniejszych cudów. I teraz, na przykład, siedząc obok ciebie, myślę sobie: dobry, śliczny Boże, dziękuję ci bardzo, bardzo.

Kazimierz uśmiechnął się pobłaźliwie. On nie wierzył, ale nie śmiał odezwać się z czymś niedelikatnym wobec wielkiej wiary tego dużego dziecka.

Lu wydawała mu się teraz dziewczyneczką... dziwnie bliską i drogą.

— Czy przyjdiesz tu jutro znowu, Lu?

— Nie, jutro idę do Jurka, mamy razem opracować referat.

— Czy mówisz o Jurku Michalskim?

— Tak, bardzo miły kolega. Odprowadza mnie zawsze do domu i odrabia za mnie rysunki.

— A co dostaje w zamian?

Spojrzała zdziwiona.

— Jak to?

— Czy ty udajesz, Lulu? Więc Jurek adoruje cię tak tylko... platonicznie, bez śladu nadziei otrzymania czegoś więcej niż uśmiech i spojrzenie?

— Uśmiechy i spojrzenia mam dla wszystkich, więc i dla niego, przyjaźnią darzę wybranych i wszystko robię otwarcie... Może dlatego mam złą opinię. No, ale muszę już śpieszyć do domu... do widzenia... pomyśl o mnie... Nie... nie chcę byś mnie odprowadzał, pójdę sama...

Podawała mu rękę, którą gorąco ucałował... odeszła.

W domu czekała ją niespodzianka. Przyjechał daleki kuzyn, Włodzimierz Bielski, bardzo zamożny i przystojny człowiek, za którego mecenasowa koniecznie chciała wydać jedną ze swych pociech, Dlatego też zawoławszy Luizę do kuchni, rzekła niby serdecznie:

— Lulu, zajmij się dziś obiadem, kochanie... Maryśka ci pomoże, ja, rozumiesz przecież, nie mogę zostawić gościa.

Luiza uśmiechnęła się:

— Z przyjemnością, ciociu. — Ale w duszy dziewczynki zawrzało. Znała dobrze tę metodę. Ilekroć przychodził jakiś młody człowiek, ciotka albo zostawiała wychowankę w kuchni, albo gdziekolwiek posyłała. Jedną tylko dobrą stroną miały te dyplomatyczne posunięcia. Gdy Lulu była zajęta w kuchni, pan Liszewski dostawał cichaczem najwspanialsze porcje.

Zdejmując okrycie, Lulu myślała: *To nic, wszystko nic, jest przecież ktoś, dla którego warto cierpieć, aby potem...* Wyobraziła sobie jasny przytulny pokój i ich dwoje na całe życie.

Z salonu dobiegł nagle śmiech kuzynek i wesoły, dźwięczny męski głos. I wtedy zbudziła się w niej jakaś przekorna ochota zrobienia ciotce na złość. Poprawiła włosy w szybie, służącej jako przygodne lustro, obciągnęła biały fartuszek i wzięwszy talerz w rękę wyszła na korytarz. Przed drzwiami salonu rzuciła talerz na ziemię i krzyknąwszy przeraźliwie, przewróciła się. Drzwi salonu zostały raptownie otwarte i w progu stanęła cała grupa...

— Co ty wyprawiasz, dziewczyno — krzyknęła ciotka, ale panienska nie podnosiła się.

— Upadłam, ciociu. Tak tu ciemno... Oj, nie mogę wstać.

W tej chwili podskoczył do niej żywo Włodzimierz i troskliwie pomógł *pozbiierać kości* niezgrabnej panience.

— Dziękuję panu... okropnie stłukłam nogę... proszę mi pomóc dojść do kuchni...

— Ależ, Luizo!

— Cioteczko, nie szkodzi. Z przyjemnością pani służę... nie wiedziałem, że z małej Lulu wyrośnie taka duża...

— ...i taka niezdarzna panna.

— Tego nie powiedziałem, czemu kuzyneczka nie weszła do pokoju?

— Muszę obiad gotować — rzekła żałośnie. — dziękuję i przepraszam za fatygę. Niech pan teraz ucieka z kuchni.

A zostawszy sama zaczęła się głośno śmiać.

— Co ty wyprawiasz, idiotko! — wpadła ciocia jak furia.
— Nie wiem, szłam do jadalni, poślizgnęłam się i już nie ma o czym mówić.
— Bardzo ci jestem wdzięczna za talerz! Pannica dorosła, grosza nie zarobi, ale marnować czyjaś krwawicę potrafi!
Policzki Luizy trysnęły krwią.
— Niech mi ciocia nie wymawia tego gorzkiego tu chleba, bo rzucę wszystko i pójdę w świat.
— Co? ty mi grozisz... ty? awanturnico... kokoto... aktorko — przyskoczyła do dziewczyny z pięściami.
Lulu nieraz zdarzało się oberwać, ale dziś... po rannym spotkaniu... policzek wydałby się dziewczynie hańbą.
— Niech mnie ciotka nie rusza, bo będzie skandal.
— Milcz... żebraczko ty!
Pięści rozwścieczonej kobiety spadły na głowę Luizy, która krzyknęła rozpaczliwie. W tej samej chwili na progu stanął Włodzimierz.
— Co się tu dzieje... ciociu... jak można!
Pani Liszewska sapała głośno, poprawiając drżącymi rękami fryzurę.
— Głupstwo — idź do pokoju, Włodku, Luiza dostała histerycznego ataku.
Spojrzała na szlochającą dziewczynę i nie mogąc zapanować na sobą, podszedł do niej:
— Kuzyneczko... Luizo... proszę się uspokoić!
Liszewska z wypiekami na twarzy wybiegła, a Luiza oparłszy głowę na piersi młodego człowieka łkała nieprzerwanie.
— No, malutka, cicho... o cóż to poszło...
— Ach, o wszystko, pan nie wie jak mi tu źle, nie mogę teraz wszystkiego opowiedzieć.
— W takim razie przyjdę tu do pani wieczorem.
— Tu nie, mam swój pokój na strychu, będę bardzo rada. Czekam po dziesiątej... — Odwróciła się szybko i pochyliła nad garnkami, usłyszawszy kroki ciotki.
— Włodku, cóż to za przyzwyczajenie siedzieć w kuchni... Moje panny tęsknią za tobą.
Włodzimierz udał się do salonu i cierpliwie słuchał jeremiad⁽¹⁾ ciotki.
— Wpakowali mi ją na kark. Dziewczyna prowadzi się okropnie, choć przecież w domu ma tylko dobry przykład, ale do niej mówić, to jak groch o ścianę rzucać... Wyobraź sobie, że wykrada moim córkom pudry i perfumy. Chciałam ją oddać do krawcowej, by wy kierować na człowieka, ale pannica ma przewrócone w głowie i marzy o sławie. Nic z niej nie będzie.
Włodzimierz słuchał, potakiwał, ale myślał swoje.
Było już po dziesiątej. Luiza wróciła od wujka, któremu usmażyła pyszny omlet w tajemnicy przed opiekunką, a teraz, siedząc przed lustrem, czesała zwichrzone kędziorki. Nie spodziewała się, że kuzyn przyjdzie, zbyt pewna była języczka ciotki. Nagle usłyszała pukanie i nim zdążyła odpowiedzieć *proszę*, w drzwiach stanął Włodzimierz.
— Jestem... i słucham. Kuzyneczka musi odbyć spowiedź, będę wyrozumiała.
— Ale Boże, tyle jest do mówienia, zresztą brzydko jest skarżyć się... Proszę, niech pan usiądzie na kozetce, bo to krzesło niepewne.
— Widzę, że kuzynka nie ma tu zbyt słodkiego życia... no, proszę mi zaufać... bardzo chciałbym ci pomóc.
Usiadła obok niego, dotykając ramieniem, ramienia mężczyzny... Wydało się dziewczynie, że ten obcy człowiek jest jej serdecznym przyjacielem, któremu może powierzyć swoje troski.
— Jaka szkoda, że pan nie jest moim tatusiem. Tak bym chciała mieć tatusia. Pan pewno

już wie o mnie wszystko od cioci, muszę tylko dodać, że nigdy nie słyszę dobrego słowa, że jestem bita i poniewierana... i właśnie na złość chcę się podobać chłopcom. Ciotka opowiada na lewo i prawo, że jestem głupia i ordynarna – dobrze! Niechże się jednak przekona, że ta głupia ordynarna Lulu ma jednak wielbicieli. Pan mnie rozumie?

— Tak kuzynko!

— Ale teraz dosyć. Zabieram rzeczy i uciekam. Wszystko mi jedno, czym zostanę, gdzie będę... — Zamyśliła się, po bladej twarzyczce zaczęły płynąć jedna za drugą łzy, ocierała je machinalnie ręką. Włodzimierz otoczył ramieniem drobną postać i lekko przycisnął do siebie. Nie opierała się. Było jej tak dobrze...

— Niech kuzynka liczy na moją pomoc, zawsze i wszędzie...

— Dziękuję... Ale w tej chwili przypominałam sobie, że muszę tu zostać dla wujka. Jest stary i chory... ciotka chciałaby, żeby umarł i dlatego wcale nie dba o biedaka... wstydzi się go, że niedołączny i brzydki, ale po co za niego wyszła?... Wuj mówi, że ma sześćdziesiąt cztery lata... ale ja słyszałam, że ma już siedemdziesiąt pięć, to jego mania odejmowania sobie lat... on jest od ciotki o trzydzieści trzy lata starszy... Mnie go żal... staram się umilić mu smutne życie i dlatego muszę... muszę zostać!

— Jesteś bardzo dobra dziewczynka... szkoda cię... Będę musiał pomówić z rodziną...

— Dziękuję bardzo za życzliwość... to pan jest dobry, że słucha... Nie mam nikogo, przed kim mogłabym się poskarżyć... a właściwie jest ktoś, ale dla niego muszę mieć same uśmiechy... no, niech pan już idzie.

Ale Włodzimierz nie miał ochoty odejść. Tak mu dobrze było trzymać przy piersi ciepłe, smukłe, młodziutkie ciało... spoglądać w tajemnicze smutne oczy.

— Przyznam szczerze, że mi tu bardzo miło, czy mogę zostać jeszcze chwilkę?

— Owszem, ale jakby to ciocia wiedziała... no!

— Ta ciocia, widzę, bardzo słodki typek.

— O... o... nie do pojęcia... ja czasem mam ochotę ją zabić. Nienawidzę tej atmosfery ciągłego fałszu i obłudy, w której ona się obraca... tych kazań o miłości bliźniego, o cnocie itd., pod których przykrywką postępuje wręcz przeciwnie...

— Biedny dzieciaku... gdy będziesz w trudnych warunkach pisz do mnie, dam ci adres.

— O, dobrze, ale niech pan już idzie, bo pan jest taki ładny jak jaki hrabia albo książę, więc sobie zaraz wyobrażam, że jestem niby kopciuszkiem, no i pan się we mnie kocha i mam ochotę pana pocałować, a mnie nie wolno już całować nikogo...

— Czemuż to?

— Bo jest ktoś, kto chce pokochać małą smutną Lulu i dlatego muszę być niewinna, ktoś, kto przyszedł z mojej ojczyzny.

— Jak to? Czy nie urodziłaś się w Polsce? Tak ale to nie jest moja ojczyzna, do której tęsknię. Czasem zdaje mi się, że kiedyś już byłam na świecie w jakiejś przedziwnej złotej krainie, gdzie nie znałam łez ni smutków, same uśmiechy... Gdzie nie było ludzi brzydko ubranych, nie było przekleństw, ni wymysłów. Ach Boże! Wiem, wiem, że jest gdzieś taka kraina.

— Jesteś bardzo dziwna dziewczynka, Lulu.

— Zawsze mi to chłopcy mówią... No, dobranoc!

— Dobranoc, maleńka! — Ucałował obie jej ręce i musnąwszy ustami czoło, wyszedł, a Luiza uklękła do wieczornej modlitwy.

⁽¹⁾ jeremiada – skarga; narzekanie; biadanie.

ROZDZIAŁ III

Od tygodnia już stary Liszewski dogorywał. Próżno Luiza za pieniądze, które otrzymała z jedynej korepetycji, kupowała mu różne przysmaki i delikatesy, siadywała przy nim całe noce. Pilnowała śniadania, obiadu i kolacji, by dostał w porę, wykradała dla niego ze spiżarni mleko i masło... starzec już nie podnosił się z łóżka, leżał drobny, skurczony, zielonożółty, ale gdy Lulu wchodziła do pokoju – na zwiędłych wargach zakwitał uśmiech. I ten uśmiech wynagradzał Luizie całą mękę wysiłków i trudów przy nim podjętych. Nie oddalała się od chorego całe dnie, przestała nawet chodzić na kursy, nie mogła też widzieć i Kazika.

Dziś przed wieczorem starzec usnął, korzystając z tego, Lulu usiadła przy stole i na dużym arkuszu zaczęła pisać:

Mój najdroższy, jedyny królewiczu!

Jestem ci szalenie wdzięczna za pomysł, byśmy korespondowali ze sobą. Nie możemy się widywać, więc choć z daleka porozmawiamy.

Śnieg pada!... Słodkie, ciche pocałunki zimy. Wujek śpi. Patrzę w dal przez okno... Smutno mi, że nie mogę słyszeć w tej chwili twego dobrego głosu.

Dlaczego mówisz, że nie jestem kobietą, a dużym dzieckiem? Wszak niedługo skończę 18 lat i tyle goryczy doznałam, ale teraz śmieję się... chcę kochać i być kochaną, chcę się podobać wszystkim... chcę tańczyć, śpiewać i krzyczeć... O, życie, bajecznie słodkie piękne życie...

A w tym samym pokoju leży człowiek, który musi je pożegnać... Jakie to straszne. Ciotka wyśmiewa mnie i mówi, że pewno liczę na testament i dlatego podlizuję się wujkowi, ale ja wytrwam i osłodzę mu ostatnie chwile. Wczoraj też miałam przykrość.

Wczoraj przyszła do mojej cioci dawna przyjaciółka, bardzo nędznie ubrana pani z małą dziewczynką. Ciocia przyjęła ją w kuchni, bo w pokoju akurat siedziały przy stole panie z komitetu dobroczynności i jadły kolację. Dała jej szklankę herbaty, ale swoim córkom nie pozwoliła się z nią przywitać... i potem powiedziała:

Bardzo mi przykro, że ci nic nie mogę pomóc i proszę, ze względu na moje córki, nie przychodź tu więcej. Trudno, żyjemy by cierpieć, a zresztą karę Boską trzeba przyjąć z pokorą... zasłużyłaś na to.

Ta pani rozplakana się i wyszła, wtedy pobiegłam za nią i zaprosiłam do mego pokoiku. Dałam jej swoją kolację. Opowiedziała mi wszystko.

Wiesz? ona miała męża, co ją bił, katował i kochał inne kobiety, więc uciekła od niego i pokochała innego pana, ale nie wzięli ślubu w kościele, bo nie mogli, więc tylko tak zrobili się małżeństwem i mają córeczkę, ale jego zabili na wojnie. Pani Zofia jest bez środków do życia, do pierwszego męża wrócić nie może... okropność.

Muszę postarać się dla niej o posadę. Jutro idę do dyrektora banku, który mi zawsze dawał kwiaty po występie, może coś zrobi.

A ciocia powiedziała, że to jest ulicznica i kokota, bo uczciwa kobieta kocha męża i pilnuje domu... ale myślę, że Pan Bóg wysłucha prędzej modlitwy pani Zofii, prawda?

Wujek otworzył oczy... kończę...

- Lulu... jesteś tu?
- Jestem, wujku...
- Popraw mi poduszki... Jakoś mi niedobrze...
- Wujciu, co wujciowi?...
- Dreszcze... dreszcze... śmierć idzie... księdza...

Pod dziewczyną zadygotały nogi... Przygotowana była na to, że starzec umrze, ale gdy stanęła samotna twarzą w twarz z grozą śmierci ogarnął ją strach i rozpacz.

- Wujku... na miłość Boską... proszę się napić... lekarstwo... tu...

Ale Liszewski wytrzeszczał krwią nabiegłe oczy, manipulował chudymi rękami i charczał.

Z przeraźliwym krzykiem wybiegła do kuchni.

- Maryśka! Leć po księdza... pan umiera... gdzie pani?...
- Poszła z wizytą, panienki też...

Wkrótce przed drzwiami mieszkania, nawet w korytarzu i pokoju zgromadził się tłum ciekawych sąsiadów. Niebawem przyjechał i ksiądz. Chory leżał z twarzą zmęczoną i szarą... Na widok księdza chciał unieść głowę, ale nie miał siły. Wyszli wszyscy z pokoju. Luiza oparła głowę o drzwi i płakała... Wśród zebranych słychać było szepty:

- Jak można zostawić chorego z jedną słabą dziewczynką...
- Troskliwa żona...
- Może go nawet sama struła... to drań baba...
- Toteż sierota wygląda jak zmora!

Nagle przez zamknięte drzwi przedarł się okropny, rżący, chrapliwy krzyk:

- Lulu... Lulu...

Upadła na kolana przy łóżku, szlochając rozpaczliwie. W otwarte drzwi zajrzała masa głów, ale umierający widział tylko białą zalaną łzami twarzyczkę.

- Jesteś przy mnie... nie odchodź... Lulu... maleńka... nie zostawiaj mnie...
- Może posłać po żonę? — spytał ksiądz.

Grymas strachu wykrzywił białe niemal wargi.

— Nie, nie... Lulu jest... moja Lulu... dobra... maleńka... - coraz ciszej brzmiał urywany szept... Trzęsące się ręce ostatnim wysiłkiem objęły ciemną główkę i przycisnęły do piersi. Zamknął oczy... Rzęzenie przeszło w ledwo dosłyszalny oddech. Luiza przytuliła twarzyczkę do twarzy starca i gładziła go lekko drżącą ręką. I na wargach jego wykwitnął uśmiech... Z tym uśmiechem zasnął, by się już nie obudzić.

Luiza uniosła z wolna głowę, spojrzała w stronę zmarłego i przeżegnawszy się zaczęła mówić *Wieczny odpoczynek*.

Poklękali wszyscy – na chwilę ciekawość i pragnienie sensacji przygniotła do ziemi powaga śmierci...

Nagle od drzwi wchodowych rozległ się jazgotliwy głos:

- Co się tu dzieje, co to jest?

Do pokoju wtargnęła Liszewska z córkami... Na moment znieruchomiała a potem, odrzuciwszy brutalnie Luizę, zaczęła krzyczeć i spazmować wniebogłose.

— To pewno twoja nieuwaga... nie dopilnowałaś go... o Boże... o Boże... — zwróciła się do kredowo bladej siostrzenicy, ale ona spojrzała tylko z bezmierną pogardą i wyszła, zamykając drzwi za sobą. Wsunęła się za nią Marysia.

— Panienko! Zabrałam list ze stołu... jeszcze by go pani zobaczyła...
— Bardzo dziękuję ci, Marysiu... — Krew zalała na chwilę twarzyczkę, wsunęła list do kieszeni i poszła do siebie.

Rozeszli się też i ciekawi pełni współczucia dla mizernej dziewczynki,

— Ale stary musiał ją kochać... no...

— *Lulu* wołał i *Lulu*... Ino mu w głowie była.

— Miał bez nią lekką śmierć...

— A ta wydra jak przyleciała... hałas narobiła... jak pchnęła to dziewczątko, to aż się biedactwo potoczyło...

Sierotka tymczasem ubrała się i wyszła, by spotkać się z Kazikiem.

* * *

Od śmierci Liszewskiego upłynęło parę dni. Luiza była bardzo przygnębiona. Straciła przecież jedyną życzliwą w tym domu osobę. Spotkania z Kazimierzem osładzały jej ciężkie życie. Kochała go z każdym dniem goręcej, ale słowo *kocham* nie padło między nimi ni razu.

Któregoś dnia siedziała skulona w swoim pokoiku, odrabiając zadania buchalteryjne. Wtem z podwórka rozległ się głos harmonii, trochę przytłumiony, ale melodie słyhać było wyraźnie. Dziewczynka stanęła na środku pokoju. Bezwiednie w takt jęły poruszać się smukłe zgrabne nóżki, w oczach błysnęły światełka, rozchyliły się usta wyrazem bezmiernej tęsknoty. Prężne ciało gięło się przedziwnie rytmicznie, *Lulu* zaczęła tańczyć. Sentymentalny walczyk wpadał do ciasnej klitki smugą błękitnego rozmarzenia, które kołysało wiotką dziewczęcą postacią. *Lulu* zapomniała, że jest w swym ciasnym i zimnym pokoju. Rozszerzyły się i zagrały orgią świateł ściany, zewsząd uderzały ją ciekawe oczy, dla których tańczy... dobywa z wnętrza skarby uczuć i marzeń, zaklina je w ruch.

W tej chwili od progu rozsypały się po pokoju klekocące dźwięki.

— Aha, panna zamiast pracować – piruety wykręca... na cyrkówkę się szykujesz?

Panienska spadła z obłoków, ale zacisnąwszy usta, wyczekiwała dalszego ciągu.

— Chciałabym się dowiedzieć, kiedy masz zamiar skończyć te romanse!

— Jakie romanse?

— Nie udawaj niewiniątka. Wiem o wszystkim. Nie masz wstydu sama i jeszcze śmiesz pokazywać drogę młodszym od siebie moim córkom. Nie ma ulicy, na której byś nie spacerowała, nie ma kąta w parku, gdzie by nie widzieli cię ludzie. Tak się wywdzięczasz za opiekę... Hańbą okrywasz uczciwy mój dom.

— Nie mogąc przyjąć gości w domu, widuję się na ulicy. Spaceruję jawnie, po kątach się nie kryję. A za opiekę dziękuję, od dziś mnie tu nie będzie.

— Hysteryczko, komediantko! Myślisz, że pozwolę ci kompromitować rodzinę? Policja cię sprowadzi.

— Nie mam rodziny, proszę mnie zostawić w spokoju. Opuszczę ten bogobojny i cnotliwy dom...

— Idź... idź... wieszaj się chłopom na szyi, każdy splunie i rzuci jak ścierkę. Zawięzałaś romansik z Bergerem... obcałuje cię i przekaże innemu... tak skończysz... ty... jawnogrzesznico!

Luiza blada była jak płótno. Słowa ciotki smagały do krwi wrażliwe i subtelne sieroce serce... Nurzały ją w błocie i poniewierały. Patrzyła rozszerzonymi oczami przed siebie i nagle terkocący głos począł się oddalać. W pokoju rósł jakiś ciemnoszary ogromny wirujący krąg,

który pochłonał dziewczynę. Osunęła się na ziemię bez słowa. W tej samej chwili wszedł Włodzimierz, a wzięwszy Lulu na rękę przeszedł obok zeszywniałej w okrzyku zgrozy i zdumienia ciotki

i położywszy dziewczynką na kozetce, rzekł stłumionym głosem:

— Niech ciotka stąd wyjdzie, trzeba nie mieć serca, żeby w ten sposób mówić do dziecka. Liszewska wybiegła, trzasnąwszy drzwiami.

— Lulu, Lulu... maleńka — szeptał Włodzimierz, zwilżając jej skronie wodą.

Po paru minutach otworzyła oczy i popatrzywszy chwilę, uśmiechnęła się leciutko.

— To pan? Skąd? Jakim sposobem?

— Miałem interes do ciotki i przyjechałem. Ponieważ zależało mi na tym, by najpierw przywitać się z tobą, prosto z dorożki wszedłem tutaj... i doprawdy nie mam słów na określenie postępowania ciotki!

— Ale proszę pana, ja się już przyzwyczaiłam.

— No, tylko mi nie płacz Lulu... biedactwo... najlepiej byłoby stąd wyjechać, prawda?

— Tak też postanowiłam... tylko... gdzie ja się udam, mój Boże!

— Widzisz, Luizo, ja w tej sprawie przyjechałem. Dziadek Jarocki serdecznie cię do siebie zaprasza.

Zerwała się na równe nogi.

— Naprawdę?... naprawdę?! Jaki pan dobry!

Objąwszy go za szyję, zasypała gorącymi pocałunkami... Gdy pierwsze uniesienie minęło, Włodzimierz wziął ją za obie ręce.

— Luizo, chciałbym ci zwrócić pewną uwagę.

— Czy zrobiłam co złego?

— Nie, ale na przyszłość pamiętaj, że nie wypada całować obcego mężczyzny.

— Przecież ja to zrobiłam na podziękowanie.

— Ale na drugi raz tego nie rób, dobrze bowiem, że trafiłaś na mnie, ale kto inny mógłby wykorzystać sytuację.

— Czy ja przez to straciłam cnotę?

Podniósł wysoko brwi, te słowa uderzyły go jak obuchem... Czy Lulu udaje?... Ale nie, spoglądała mu prosto w oczy jasnym, czystym wzrokiem.

Odparł z trudem:

— Nie, Lulu... Czy ty nigdy nie słuchasz zwierzeń przyjaciółek?

— Nie mam przyjaciółek i nie cierpię bab, nie ma z nimi o czym gadać. Najlepiej mi z chłopcami.

— Aha! No tak!... Na chwilę zostawię cię samą... poleż trochę... okryję cię tym szalem... idę porozmawiać z ciotką i wrócę tu.

Pani Liszewska była oszołomiona przyjazdem Włodka, a jeszcze bardziej jego misją. W najczulszych słowach zapewniała, że właściwie motorem wszystkich scen jest przywiązanie do Luizy i chęć zrobienia z niej człowieka.

Ale Włodzimierz był niewzruszony. Miał już o tym przywiązaniu pewne pojęcie.

Liszewską zaś ogarnął strach i wstyd wobec rodziny. Ostatecznie wezwano zainteresowaną. Luiza oświadczyła, że pragnie jechać.

Ale co będzie z kursami, wszak kończą się w styczniu, czy nie szkoda rzucać ich prawie w przededniu otrzymania świadectwa.

Po chwili milczenia Lulu rzekła:

— W takim razie zostaną tutaj do stycznia... potem zaś jadę nieodwołalnie.

Liszewska odetchnęła. Może przez ten czas znajdzie sposób wyjścia z sytuacji zwycięsko, by uniknąć kompromitacji.

Bielski wyjechał trochę niezadowolony. Nie chciał zostawiać Luizy pod tak „serdeczną” opieką. Dziwił się też sam sobie, skąd wzięła się w nim taka przeogromna czułość i tkliwość dla prawie obcej dziewczyny. Luiza była z nim spokrewniona w dalszym stopniu i ze względu na znaczną różnicę wieku (miał teraz 32 lata) nie zwracał na nią specjalnej uwagi. Teraz, przyznawał, Lulu wzbudziła w nim więcej niż przeciętne zainteresowanie i to go niepokoiło. Znalazłszy się w Warszawie, zdał sprawę panu Piotrowi Jarockiemu, nestorowi⁽¹⁾ całej rodziny, ze swej podróży. Stary był stryjem i opiekunem ojca Luizy, ten bowiem stracił rodziców wcześniej, ale ponieważ ożenił się wbrew woli pana Piotra, wszelkie stosunki za życia były zerwane i dlatego Lulu miała słuszość, mówiąc, iż nie ma rodziny. Dopiero opowiadanie Włodzimierza obudziło w staruszku zakrzepłe uczucia. Bądź co bądź ta biedna nieznana dziewczynka była jedynym dzieckiem ukochanego bratanka, któremu zastępował ojca. Tak więc los sieroty został na razie zdecydowany. Biedny Jarocki nie przeczuwał, ilu zgryzot powodem będzie ta mała, blada „wnuczka”.

Przed wszystkim na wieść o zamiarze pana Piotra cała jego dalsza i bliższa rodzina zaczęła mu gorąco odradzać ten *nierozsądny krok*. Oczywiście w grę wchodził tu majątek pana Jarockiego, który był bogatym przemysłowcem. Na wypadek gdyby usynowił Luizę, siłą rzeczy wszystko przeszłoby na nią. Podjęto więc energiczną kampanię, powołując się na listy *pani mecenasowej*, w których Lu występowała jako czarny charakter, to znów na słabe zdrowie Jarockiego, który od śmierci żony istotnie był bardzo nerwowy i wrażliwy. Jednak pan Piotr się uparł... dużo tu było wpływu ulubieńca – Włodka – i cała dyplomacja rodziny na razie celu chybiła.

A Luizę tymczasem pochłaniał czar pierwszej miłości. Rozmawiała z Kazikiem całymi godzinami na wszystkie tematy... słuchała jego słów z dziecinnym zachwytem... i uważała, że Kazik jest mądrzejszy niż wszyscy profesorowie. Chłopak był istotnie elokwentny i zapalony, a mając tak uroczą słuchaczkę, wtajemniczał ją w swoje poglądy, dobierając najbardziej kolorowych określeń. Miał też sposobność przekonać się, że Lulu jest zupełnie nieświadoma życia, ale że w tym dużym dziecku budzą się setki uczuć, których sama nie potrafi nazwać, bo ich nie rozumie. Obserwował ją kiedyś, gdy siedzieli w cukierni, a orkiestra grała namiętne tango.

Lulu przybladła bardziej niż zwykle, ale usta jej, te maleńkie, słodko wykrojone usteczka, rozgorzały purpurą, oczy ciskały zielone płomienie, rozděły się lekko nozdrza, młodą pierś poruszył szybki oddech. Coś w tej dziewczynie płonęło, coś rwało się na świat. I wtedy Berger odczuł, że w Luizie drzemie jakaś potężna siła, która, gdy się kiedyś rozpęta, albo wprowadzi Lulu na wyżyny, albo będzie jej zgubą.

I dotąd jeszcze nie padło między nimi słowo *kocham*, Lu wiedziała tylko, że on chce ją pokochać i starała się uzyskać prawo do tej miłości, sama zaś widziała w Kaziku ucieleśnienie wszystkich cnót i zalet... żyła dla niego i przez niego... To co *Kazik powiedział* było święte i mądre. Przestała chodzić na spacer z kolegami, nie brała udziału w towarzyskich zebraniach, bo uważała, że już jej nie wolno, bo cała ona jest *Kazikowa*. Uśmiechnięta i radosna ze spokojem zносиła awantury ciotki i wciąż tylko myślała, że *musi być przecież warta, by ją Kazik kochał...* dlatego też w jego obecności nie wspominała ani słówkiem o przykrościach w domu, gorliwie zaś badała stan humoru władcy i przy cieniu bodaj jakiegoś zmarkocenia czy troski zmieniała się cała w serdeczne współczucie i w uśmiech... Czasem gdy Kazimierz opowiadał o partii, ośmielała się prosić, by rzucił „robotę”, bo: — tak mi się zdaje Kaziu, że to coś brzydkiego, że opieracie się na nienawiści, pomyśl, a nienawiść to przecież paskudztwo... ja teraz nawet cioci już przestałam nie

cierpieć.

Berger zaś istotnie rozkochał się w Luizie bez granic. Nazywał ją małą Madonną, odnajdywał coraz to nowe uroki, które przywiązywały go do tej młodej kobiety. Istotnie Lu była na wskroś kobieca. Jej pełne wdzięku ruchy, uśmiechy, minki, głos czasem rozkapryszonego dziecka to znów pewnej siebie pieszczochy miały bezmiar kobiecości. Kazimierz wiedział już teraz, dlaczego Lulu była zawsze otoczona towarzystwem, i stracił głowę całkowicie. Gdy jej nie widział dzień lub dwa – tęsknił tak boleśnie, że godzinami wyczekiwał w okolicy domu, gdzie mieszkała; w porównaniu z innymi kobietami nazywał ją jedyną gwiazdą na horyzoncie i modlił się do niej, jak do bóstwa, wobec którego najpiękniejsze idee szarzały i pokrywały się pyłem pospolitości.

A przecież słowo *kocham* nie chciało mu przejść przez gardło.

Pewnego wieczora wracała z kursów w towarzystwie Jurka Michałowskiego i koleżanki. Naprzeciw szedł Kazimierz i znając całe grono dołączył się bez ceremonii. Zalotna panienka, towarzysząca Luizy, zawzięcie kokietowała Bergera i tak zręcznie manipulowała, że puściła przed sobą Luizę z Jurkiem a sama szła w drugiej parze z Kazikiem. Ból okropny targnął rozkochanym sercem Lulu, gdy odwróciwszy głowę, spostrzegła, że Kazik trzyma koleżankę pod rękę i szepcze jej słodkie komplementy, nie zwracając zupełnie uwagi na Lu... ta, jakby w ogóle nie istniała. Doszli do rogu alei i tu Luiza, pożegnawszy koleżankę, wyciągnęła rękę do Kazimierza:

— Dobranoc panu! Obiecałam Jurkowi mały spacer, a zatem musimy was pożegnać.

Jerzy wytrzeszczył oczy, ale milczał, dopiero gdy odeszli parę kroków zapytał:

— Co to ma znaczyć, Lu?

— Nic, chciałam ci zrobić przyjemność, czy jesteś niezadowolony?

— Ale gdzież tam... tylko tak nagle...

— Właśnie tak nagle... weź mnie pod rękę i będziemy sobie rozmawiać.

— O czym, Lu?

— O czym chcesz.

— Kiedy ja nie umiem prowadzić rozmowy, ty tak ładnie mówisz... mów... ja będę słuchał.

— O spojrzuj. Znow śnieg zaczyna prószyć, wiesz, co mi się zdaje? Że Pan Bóg siedzi sobie teraz na takim jasnym dużym tronie przy kominku i skubiąc ciszę na drobne kawałeczki, rzuca na ziemię. Gdybym mogła, zatańczyłabym ten taniec śnieżnych płatków... Ja po prostu słyszę ich melodię. W taki wieczór jak dziś mam zawsze ochotę iść gdzieś daleko w jakieś bezmiary, ach... ale nie sama. Nie cierpię samotności.

— Poszłabyś ze mną?

— Nie, bo ciebie nie kocham... Ale nie rób takiej grobowej miny, przecież teraz jestem z tobą. Zresztą nie warto się takimi głupstwami przejmować. Masz tyle rzeczy do zrobienia... Pojedziesz na uniwersytet, zostaniesz słynnym doktorem, ale wiedz o tym, że biednych masz leczyć darmo i pamiętać o Luizie.

— Kto by o tobie zapomniał, Lu... dzieciaku słodki.

— Jak jeszcze raz powiesz na mnie dzieciaku, to cię zboksuję... O patrz – tu wspaniale wyslizgane... pociągnij mnie trochę, to sobie pojedę...

Szeroko, daleko rozdzwięknął młody śmiech w pustej uliczce... A kiedy Lu wróciła do swego pokoiku, oparła się o stół i płakała długo... długo!

I Kazimierz nie spał tej nocy, czuł, że dotknął Luizę, ale miał do niej żal. Zaraz na drugi dzień postanowił zrobić jej wymówkę, tymczasem śnieg stajał i blocko było niemożliwe, a Lu miała podarte buciki i wcale z domu nie wyszła.

Zaryzykował więc śmiały krok i około dziewiątej wieczór zapukał do jej pokoju. Gdy

stanął w progu zerwała się i zamknawszy oczy, przycisnęła rękę do łomocącego serca... Ach! Miała ochotę uklęknąć przed nim...

Przyciągnął do siebie, bladą, drżącą dziewczynę i usłyszał gorący, przerywany szept: Kazik... Kazik... mój... jedyny!

I wtedy zerwały się napięte struny woli chłopaka. Zamknął w ramionach wiotkie ciepłe dziewczęce ciało i okrył bezpamiętnymi pocałunkami.

— Ty mi Lu więcej takich kawałów jak wczoraj nie rób... bo...

— Bo co?... Ja niechący. Tak mi było strasznie przykro, że ty ze Stefą. Całą siłą hamowałam się, by nie płakać na ulicy... Kazik, jakiś ty dobry, żeś przyszedł... jak ci podziękować... — Wszeptywała mu te słowa gorejącymi usteczkami w usta... Iśniące łzami oczy błagały i mówiły to, czego słowa określić nie zdołają...

Wziął ją na ręce, jak dziecko, patrzył przenikliwie w oczy dziewczątka i widział, jak mieniły się szafirem i fioletem, jak rozchyliły pragnąco usteczka... Milczał, pochłonięty czarem nastroju, w którym drżała rozkosz... słyszał mocny, przyśpieszony łomot serca swego i jej... a wtedy pochyliwszy się nisko nad jej głową wyszeptał:

— Kocham cię Lulu, kocham cię, słyszysz?...

Zamknęła oczy... oszołomił ją bezmiar szczęścia... omdlewała po prostu, Kazik rozpalonymi palcami zsunawszy jej z ramion sukienkę wtulił usta w młode ciało dziewczynki.

Porwała się nagle i stanęła przed nim z twarzą w rumieńcach.

— Kazik, czy... czy to nie grzech?

— Co malutka?

— Że ty mnie tak całujesz...

— Moja ty czysta jasna dziewczynko... nie... nie grzech... nam wolno, bo my się kochamy, a wszystko, co płynie z miłości, jest piękne... tak piękne jak ty, Lulu.

Wyszedł od niej koło dziesiątej podniecony do najwyższego stopnia i rozkochany do szaleństwa. Pierwszy raz odczuł urok jej gibkiego ciała i nieśmiałej pieszczoty – a Lulu robiła rachunek sumienia, postanowiła bowiem iść do spowiedzi.

Nazajutrz raniutko stanęła przy konfesjonale. Ogarnął ją nagle paniczny strach, spoglądając rozszerzonymi źrenicami w obraz Chrystusa dygotała na całym ciele. Gdy przyszła wreszcie na nią kolej, przysunęła usta do kratki i wyszeptała zdławionym głosem:

— Ostatni raz byłam u spowiedzi... już dawno... ze trzy lata.

— A dlaczego?

— Nie wiem sama... trochę miałam żal do Boga... trochę bałam się tak jakoś.

— O cóż ty możesz mieć żal do Boga... masz rodziców?

— Nie... ciocia mnie wychowuje i właśnie dlatego... Inne dziewczynki mają tatusia i mamę i są pieszczone i kochane... a ja?... Zawsze jak pies bita i poniewierana... Że jestem zła, to wiem, ale nie wiem dlaczego?...

— Ile masz lat?

— Osiemnaście już.

— Powiedz mi dziecko, czy jesteś posłuszna.

— Tak, ja przeważnie słucham ciocie, ale nie mogę znieść, jak plecie głupstwa i wtedy się z nią kłócę, ciocia mówi, że jestem ulicznicą i kokotą, bo lubię chłopców. Co ja zrobię, że wolę ich niż te głupie dziewczyny, co ciągle tylko szepczą po kątach i właśnie dlatego dziś przyszedłam... Ale, proszę księdza, czy dostanę rozgrzeszenie?... Bo... bo...

— Mów śmiało dziecko. Bóg, który patrzy teraz na dno twego serduszka jest miłosierny... pamiętaj.

— Proszę księdza ja się tak okropnie mocno całowałam.

— Często?... z kim?

— Nie, tak bardzo to dopiero wczoraj, ale grzeszne myśli mam prawie zawsze i chcę, żeby mnie chłopcy kochali... na złość cioci.

— Posłuchaj mnie dziecinko, właściwie pocałunek nie jest grzechem, ale pomyśl sama, czy nie szkoda twych świeżych ust na zabawkę dla pierwszego lepszego mężczyzny... pomyśl... jeśli kiedyś zostaniesz żoną i matką.

— Ach! Ja bym tak pragnęła mieć córeczkę...

— No widzisz, jakżebyś mogła żądać od nich dla siebie szacunku...

Luiza przycisnęła mocniej ucho do kratki i słuchała długiego, rozumnego tłumaczenia... Jeszcze parę pytań i odpowiedzi, wreszcie:

— A do kościoła chodzisz?

— Owszem, bo strasznie lubię nabożeństwo... wtedy gdy grają organy i dużo świateł jest w kościele, tylko nienawidzę tych bab, co chodzą co dzień do spowiedzi, a później są takie jędzowate, i wyśmiewam się z nich przy cioci, bo wtedy jest zła, a ja lubię jak się tak wścieka.

— Nie trzeba dziecinko wyśmiewać się z ludzi starszych. Kto wie, co ona w życiu przeszła – może jest nerwowa!

— Nie cierpię, bo ciągle bełkocze o miłości bliźniego, o zadaniu matki i żony, a obgaduje kogo może, a wujkowi dawała mało jeść, bo stary dziad, mówi, nie potrzebuje. Więc jak ja mam być dobra, kiedy we mnie ciągle się przewraca taki żal i wściekłość, że ja nic a nic nie mogę zrobić. Tyle widzę wokół siebie zła i krzywdy i nie potrafię nic... Kocham ludzi, a w zamian tyle upokorzenia!...

— Widzisz, dziecko, gdyby każdy robił i miał to, czego pragnie na ziemi, byłby raj... I Chrystus doznał od ludzi tulu cierpień, a ty, mały ziemski robak, chcesz być od razu oceniona i zrozumiana... Poczekaj... popracuj nad sobą, naucz się cierpieć, może i do ciebie przyjdzie szczęście... Że lubisz chłopców – nic zdrożnego... ale... no nie płacz malutka, przysuń uszko... posłuchaj...

Luiza zamieniła się cała w słuch, a z ust kapłana padały mocne, zdrowe i mądre słowa głęboko w duszę dziewczyny, co błąkała się po ścieżynach życia gnana odwieczną tęsknotą, której ziarno ręką Boga usypane rozprysło się po świecie... tęsknotą do pozaziemskich, niedosiętych wyżyn...

— Ach, proszę księdza... Przypomniałam sobie... ja... ja... kradłam... i miałam... mam grzeszne myśli...

— Cóż ty kradłaś... bój się Boga...

— A dla wujka masło i jajka ze spiżarni...

— Aha... Bo, ale już więcej tego nie zrobisz, prawda?

— Nie, bo wuj umarł!... A proszę księdza... ja wiem, że to grzech, jak jestem z Ka... z tym, którego kocham, to chciałabym, żeby mnie całował... nie tylko w usta.

— Najlepiej, żebyś z nim nie przestawała sam na sam, a jeśli opadną cię pokusy, przeżegnaj się i pomyśl, że miłość nie na samych pieszczotach polega...

Jeszcze parę dobrych serdecznych rad i Lulu podeszła do ołtarza, a złożywszy ręce wzniosła zalane łzami oczy na obraz Madonny i błagalnie wyszeptwała:

— Madonno, zlituj się... daj, żebym była dobra i żebym zmądrzała... Śliczna, kochana Matko Boska... i żeby Kazik mnie kochał nie tylko dlatego, że jestem ładna... o Madonno, Ty która jesteś samą litością i miłosierdziem...

Luiza wyszła z kościoła z bladą uduchowioną twarzą. Było jej lekko i swobodnie. Ksiądz jej nie potępił, taki dobry... Zawsze u niego będzie się spowiadać. Ale wieczorem, gdy przyszedł Kazik i otoczył ją ramionami, zapomniała o całym świecie.

Popłynął cały szereg dni. Luiza chodziła z oczyma jak gwiazdy i twarzą w rumieńcach. Ciotka jakoś była spokojniejsza, za to z dwakroć większą gorliwością szpiegowała nic nie przeczuwającą Luizę. Jedna tylko chmurka ćmiła pogodne niebo szczęścia – oto rozstanie się z Kazikiem, bo wszak wkrótce miała jechać do Warszawy. Berger zaś męczył się ogromnie. Pragnął jej tak, jak tylko młody, silny, zdrowy chłopak pragnąć może, a musiał się liczyć z tym, że Lulu jest niewinna i jak się ze zdumieniem przekonał zupełnie nieuświadomiona.

Myśl o rozstaniu i dla niego była straszna, ale pocieszał się tym, że pojedzie do Warszawy na uniwersytet. Zamiast od wakacji, jak projektował, zapisze się teraz. Tylko jeżeli w tym gwarnym, pełnym pokus mieście zepsują mu Luizę, jeśli przesiąknie wielkomiejskimi prądami... Bo Lu jest nie tylko ładna i ponętna, ale pełna temperamentu. Czasem projektował, że ją uświadomi sam i wtedy zażąda od niej ofiary, ale gdy spojrzął w dziecięco czyste oczy, gdy uśmiechnęła się do niego słodkim, pełnym oddania uśmiechem, czuł, że nie będzie miał siły zaćmić jasności tych oczu i tego uśmiechu. A może Lulu świadoma wszystkich tajemnic płci i miłości zmieniałaby się zupełnie?...

I tak czas przesuwiał szereg wieczorów po duszy chłopaka, rozpalając zmysły coraz bardziej. Pocałunki i uściski nie wystarczały – tulili się do siebie jak dwa płomienie, a Lulu pytała żałośnie:

— Co się ze mną dzieje, Kazik?... Tak mi jest dziwnie... Ach, Boże, chciałabym być taka mała, żebyś mógł ścisnąć mnie całą w dłoni... ścisnąć na śmierć.

A kiedy zostawała sama, obejmowała gwałtownie poduszkę i tuląc się do niej namiętnie szeptała:

— Kazik... Kazik... mój Kazik...

Pani Liszewska obserwując wszystko uśmiechała się złośliwie, aż raz padło pytanie.

— No i cóż Luizo, kiedy ślub?

— Jaki, czyj?...

— No twój z Bergerem.

Lulu westchnęła, o tym przecież nigdy nie było mowy, ale rzekła niby obojętnie.

— E, ciociu, to jeszcze odległa przyszłość. Jesteśmy oboje za młodzi.

— No, oczywiście... ja tylko cię przestrzegam, że mężczyźni nie żenią się z kobietami, które mają przed ślubem, bo przecież nie zaprzeczysz, że twój stosunek z Bergerem nie jest platoniczny. Gdybyś była moją córką, dawno bym temu zapobiegła, ale tak... nie chcę ci narzucać swej opieki.

— O jakim stosunku ciocia mówi?

— Chcesz we mnie wmówić, że nie jesteś kochanką Bergera?

— Owszem... jestem... (Biedna Lu, gdyby rozumiała znaczenie tych słów.)

— Byłam pewna, toteż nie zdziwisz się zapewne, gdy od dziś będziesz jadała u siebie.

Zrozum, że nie mogę przecież pozwolić, by obcowały z tobą moje niewinne córki.

— Zrozumiałam — trzasnęła drzwiami i wyszła.

Zaś niewinne córki o dwunastej w nocy skradały się cichaczem po schodach, idąc do dancing.

⁽¹⁾ nestor – najstarszy przedstawiciel jakiejś grupy; mądry, doświadczony starzec. (Od imienia Nestora – najstarszego z wodzów greckich walczących pod Troją.)

ROZDZIAŁ IV

Kazimierz wracał z zebrania partii. Dziś miał odczyt towarzyszy Grzech. Temat brzmiał *Miłość i małżeństwo*. Towarzysz w długim przemówieniu apoteozował śluby cywilne i miłość *na wiarę*. A trzeba przyznać, że umiał do młodych przemawiać. Toteż Berger wyszedł pełen entuzjazmu, przekonany zupełnie do wstecznych ideałów.

Po drodze wstąpił do teatru, gdzie Lulu miała próbę. Usiadł w ostatnim rzędzie i patrzył ciekawie na gromadkę amatorów, wśród których wyróżniała się inteligentną grą Lulu. Chłopak utkwiał oczy w najdroższej złotobrazowej główce i myślał, czy potrafi ukochaną dziewczynę nagiąć do swoich poglądów. W duchu przedstawiał sobie życie przy boku tej czarującej kobiety-dziecka.

W tej chwili ktoś usiadł do pianina, a Lu zaczęła tańczyć. Podniósłszy ręce nad głową gięła swoje wiotkie ciało, w takt leniwej, ciepłej melodii. Otoczenie patrzyło z milczącym zachwytem na dziewczynę, ale ona tańczyła tylko dla Kazika.

— Jak pięknie tańczysz Lu — rzekł jej, gdy szli do domu.

— Bo kocham taniec. Gdy słyszę muzykę, zdaje mi się, że lecę gdzieś w przestrzeń. Każda melodia mówi coś do mnie, ale nie mogę oddać tego słowami tylko ruchem.

— Bo ty jesteś urodzoną artystką...

— Marzę o tym, by nią zostać dla ciebie; chciałabym, żebyś był ze mnie dumny.

— A ja marzę, by ciebie mieć na zawsze.

— Czy za żonę — spytała cichutko.

— Tak, za żonę duchową, za towarzyszkę każdej doli, ale dobrowolną towarzyszkę, nie spętaną nakazem i przysięgą kościoła.

— Jak to?

— No Lulu, czy nie można żyć z sobą bez ckliwego zezwolenia księdza?

— Ale to grzech!

— Śmieję się Lu. Większym grzechem jest żyć obok siebie bez miłości... Czy chciałabyś zostać moją?

— Tak... ale...

— Jeżeli mnie naprawdę kochasz, nie powinno być żadnych *ale*. Pomyśl, zastanów się i wtedy mi odpowiesz, kochanie.

Skinęła głową:

— Dobrze!

W blasku latarni zarysowała się wyraźnie brama domu.

— Dobranoc moja maleńka, słodka... kochana!

Ale Lu nie miała *dobrej* nocy. Słowa Kazimierza zgnębiły ją bezmiernie i ukazały pierwsze cienie tej miłości.

Włodzimierz zaś był o Luizę niespokojny, po długiej więc naradzie z dziadkiem postanowił jechać i zabrać ją już na Boże Narodzenie. Zaintrygowało go milczenie dziewczyny, a przecież obiecała pisać.

Liszewska przyjęła go uśmiechem, córki, jak przystało na dobrze wychowane i skromne

panienki – powściągliwą dystynkcją.

— Co słyhać w Warszawie Włodziu... Jak stoją twoje sprawy?

— Dziękuję cioci... bardzo dobrze.

— Nie myślisz się żenić?

— Owszem... ale na razie wprawiam się w rolę opiekuna i chcę zabrać ze sobą Luizę już na święta.

— Tak? Nie mam nic przeciwko temu. Pobyt jej w moim domu stał się zupełnie niemożliwy. Dzidziu, Haneczko... wyjdźcie, to nie dla was temat.

— Co tu zaszło?

— Mój drogi, Luiza przyznała się, że jej stosunek z tym Bergerem wkroczył na tory mocno drastyczne... rozumiesz mnie... wstyd mi o tym mówić doprawdy.

— Jezus, Maria, czy to możliwe?

— Wyznała mi bez śladu zmieszania... Powiedziałam już raz, to jest jawnogrzesznica.

— Muszę się z nią zobaczyć.

— Pewno jest u siebie.

Bielski popędził po trzeszczących schodach. Na jego widok Lulu krzyknęła radośnie i wyciągnęła obie ręce. Ale Włodek przywitał ją chłodno i patrzył ze ściągniętymi brwiami.

Co panu jest, pan gniewa się na mnie... za co?

— Lulu, chcę ci wierzyć, powiedz, czy między tobą i twym ukochanym nie zaszło nic, co byś musiała ukrywać?

— Nie! Dlaczego pan pyta?

— A co powiedziałaś ciotce., przypomnij sobie...

Zmarszczyła czoło...

— Nie pamiętam... aha... że jestem jego kochanką, no, ale to nic złego.

— Lulu, co ty mówisz, opamiętaj się!

W oczach dziewczyny błysnęły łzy:

— O co panu chodzi, przecież mówiłam już raz, że on mnie kocha, i ja też, więc jestem jego kochanką. Zwłaszcza że... że...

— Co?.. Mów!

— Całowaliśmy się... zawsze się całujemy!

— Tylko? Nic więcej?

Spojrzała z takim zdumieniem, że Włódkowi zakręciło się w głowie. Już teraz nic nie rozumiał, nie wiedział, co myśleć. Wreszcie zaryzykował śmiałe pytanie.

— Czy mogłabyś zostać z czystym sumieniem żoną innego człowieka, czy nie miałabyś mu nic do powiedzenia?

A Luizie teraz stanął w oczach Kazik, całujący jej piersi, ramiona i kolanka. Zaczerwieniła się i milczała.

— Nie będę natrętny, nie pytam więcej. Przyjechałem po ciebie.

— Dobrze, pojedę, mnie tu już bardzo źle.

Ostatecznie Włodzimierz nie dowiedział się niczego. Mógł tylko przypuszczać, mógł także machnąć ręką na wszystko i pójść swymi drogami, ale uparł się, chciał tę dziewczynę poznać, wprowadzić ją w inne życie i warunki.

W roziskrzony gwiazdami grudniowy wieczór odbyło się pożegnanie Luizy z Bergerem.. Przyszedł do jej pokoiku. Nie mówili nic. Całował twarzyczkę, ramiona i piersi szlochającej dziewczyny. W pewnej chwili położył ją na kanapce i uklękawszy zapytał.

— Lulu, odpowiedz teraz, chcesz zostać moją?...

— Ty wiesz... ja przecież już dawno jestem twoja... całutka... Kocham cię...

— I chcesz być moją na zawsze bez względu na opinie dewotek i kretynów?

— Tak... tak...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Odskoczył przerażony, Lulu chwyciła szal i drżącym, schrypniętym z naprężenia głosem rzekła:

— Proszę.

Wszedł Włodzimierz: spojrzał badawczo na młodych, ale nie tracąc zimnej krwi rzekł swobodnie:

— Przedstaw mnie Lulu swemu koledze.

Podszedł do Bergera i uściskawszy mu dłoń mówił dalej:

— Lu jest dziś trochę zaaferowana, bo za godzinę wyjeżdżamy.

Berger odzyskał równowagę

— Wiem o tym, doznałem specjalnego zaszczytu, że pozwoliła mi przyjść pożegnać się... biedni ci wielbicieli twoi, Luizo.

— No, teraz płocha Lulu będzie pod moją ojcowską opieką, myślę, że prędko nabierzesz statku i powagi, co?

Rozmawiali niby wesoło, ale męczyli się nieznośnie. Wreszcie Kazik wstał.

— Nie chcę zabierać czasu przed podróżą... — Podał rękę Bielskiemu — do zobaczenia, Lulu, szczęśliwej drogi.

Odprowadziła go do drzwi i nie bacząc na obecność Włodka, rzuciła ukochanemu ręce na szyję i zaszlochała głośno.

— Cicho, malutka, przyjadę niedługo. Nie płacz... będę o tobie myślał... — ucałował jej usteczka i wyszedł.

Włodzimierz stał w głębi pokoju i mocno zaciskał ręce.

* * *

Po dużym widnym pokoju szybkimi krokami chodził Jarocki, co chwila spoglądając na zegar. O dziewiątej przychodzi pociąg. Na stole szumiał samowar, z drugiego pokoju dochodził gwar licznych głosów. To kuzynki, które chciały zobaczyć przyszłą wychowankę *Dziadka Piotra*.

Kwadrans po dziewiątej zadzwieczał dzwonek. Z salonu do korytarza wyjrzało parę głów. Służąca otworzyła drzwi. W progu stanęła drobna, smukła dziewczynka, za nią Włodzimierz. Jarocki bez słowa ogarnął ją ramionami i dopiero po chwili rzekł drżącym głosem:

— Witaj, dziecinko, jestem bardzo rad z twego przybycia, chciałbym, by ci tu było dobrze.

Panienka, zdumiona serdecznym powitaniem, pochyliła się wdzięcznym nieśmiałym ruchem do ręki dziadka, a on, przysunawszy gościa do okna, przyglądał się wzruszony bladej twarzyczce.

— Wykapany ojciec, szkoda, że nie może cię zobaczyć; rozbierz się, Lulu, jesteś pewno bardzo zmęczona, prawda?

— Nie, pan Włodzimierz dla mnie taki dobry... Jak tu u dziadka ślicznie, jak ciepłutko... Jestem strasznie szczęśliwa...

— Zaraz wypiję herbatkę z moją wnuczką... Panienki, proszę do stołu.

W pokoju zaszumiały jedwabie... powiał zapach różnych perfum. Eleganckie, dobrze ubrane i podmalowane panny podawały przybyłej ręce protekcyjnie, porozumiewając się

ironicznymi uśmiechami.

Przy śniadaniu zawiązały ożywioną rozmowę między sobą, nie zwracając niby na Lulu uwagi. Ona zaś była zmieszana i nieśmiała.

Spoglądała ustawicznie w stronę dziadka, który patrzył na nią z rozrzewnieniem. Odnajdywał w niej swego ukochanego, dumnego bratanka. Te same podłużne, leciutko skośne oczy, ten sam zgrabny wydatny nos. Przypomniawszy sobie Stacha z czasów dzieciństwa; nieznośny, uparty, samowolny, lecz o złotym sercu chłopak... Czy Lulu odziedziczyła po nim charakter?

Włodek podniósł się.

— Teraz pożegnam was, moi mili... śpieszę do biura. Niech dziadek od razu weźmie małą w garść, bo to nieznośny bachor... Co, Lulu? Bardzo się boisz dziadka?... No, bądź zdrowa i grzeczna...

Lulu, siedząc obok Jarockiego, przytuliła mu główkę do ramienia i patrzyła z uśmiechem na mówiącego, ale gdy zniknął za drzwiami, pobięła za nim do korytarza.

— Panie Włodek!

— Słucham cię, Lulu.

— Chciałam panu podziękować, pan jest bardzo dobry. Nie wiem, czym się odwdzięczę.

— No, no, bez egzaltacji⁽¹⁾ — pogładził zwichrzone kędziorki i nie mogąc zapanować nad pragnieniem, pocałował ją w rękę. Wyszedł.

Luiza wróciła do stołu.

— Widzę, że kuzynka wielkimi względami obdarza Włodka — zauważyła Marysia Dawiczówna, córka siostrzenicy Jarockiego. — Nie dziwię się, to straszny kobieciarz.

— Wiem tylko, że był dla mnie bardzo dobry — odparła Luiza.

— Ach, zapewne! On jest dla każdej dobry...

— Lulu, czy to prawda, że tobie cała młodzież męska mówiła po imieniu? — spytała złotowłosa Ziuta Borowska.

— Prawda! Ale skąd wiecie o tym?

Lu spojrzała z przerażeniem na dziadka, czy i jego zdążyła „kochająca” opiekunka odpowiednio przygotować? Ale nie! Patrzył na nią jednakowo serdecznie.

Panny zaczęły się żegnać. Ciekawość ich była nasycona... Nową kuzynkę znalazły brzydką, nieśmiałą i niepozorną.

Upłynął tydzień. Pan Jarocki oprowadzał wnuczkę po Warszawie, poznał ją z całą rodziną, byli w teatrze, w kinie i na koncercie. Wdzięczność i zachwyty Luizy nie miały granic.

Zdobyła też szturmem serce starego, który nie mógł odżalować, że sprowadził ją do siebie tak późno. Mimo jego oporu i perswazji panienska uparła się, że chce pracować, no i postawiła na swoim. Dzięki stosunkom Włodek umieścił ją w cukrowni w charakterze biuralistki. Dziewczyna była w siódmym niebie i napisała do Kazika sążnistą epistołę, pełną zachwyty i entuzjazmu.

Zaczął się nowy dla niej życie. Do czwartej pracowała, potem biegła na obiad do dziadka, o piątej zaś udawała się na wykłady do uniwersytetu, gdzie zapisała się za radą Włodka.

W atmosferze serdecznej opieki i troskliwości dziadka, w dobrobycie i wygodach rozwinęła się jak kwiat. Po prostu wypiękniała, jej smutne dotąd oczy śmiały się figlarnie i mimo woli zalotnie do całego świata. U kuzynek bywała rzadko, coraz rzadziej, przestały ją bowiem zapraszać, widząc, że staje się niebezpieczną rywalką.

W biurze pracowała bardzo pilnie i wydajnie, w prostocie ducha wyręczając koleżanki i kolegów, gdy o to poprosili. Dumna była, że na siebie zarabia, że praca idzie jej łatwo i składnie. Koleżanki polubiły nową, zawsze uprzejmą i wesołą pracownicę, koledzy byli bardzo grzeczni i nadskakujący, tych ujmowała szczerym pogodnym uśmiechem i niewyczerpanym humorem.

Któregoś dnia podczas przerwy śniadaniowej jedna z biuralistek zagadnęła Luizę:

— Panno Lulu, czy pani nigdy nie bywa wieczorem w cukierni?

— Nie, bo dziadek nie może tak późno,

— No... z przyjacielem...

— Nie mam tutaj ani jednego, wszyscy zostali tam w miasteczku.

Głośny wybuch śmiechu powitał te słowa.

— Wspaniała ta mała... przynajmniej szczerza... cha... cha... cha...

— A kto to jest ten przystojny brunet, co często po panią przychodzi?

— To kuzyn... mm... ale twardy orzech do zgryzienia... poważny jak śmierć.

— Wobec tego zabieram panią dziś ze sobą... przyprowadzę miłego chłopca. O dziewiątej przed *Ziemiańską*⁽²⁾, dobrze?

— Wspaniale — i Lu ucałowała serdecznie życzliwą koleżankę.

— A dziadkowi niech pani nic nie mówi, mógłby zabronić...

Rozmowie panien, prowadzonej półgłosem, przysłuchiwali się jednak koledzy. Spoglądali potem na Luizę z domyślnymi uśmieszkami i żywo między sobą rozprawiali. O godzinie czwartej, gdy ubrana już podawała wszystkim rękę, młody i przystojny buchalter Toms zapytał:

— Czy pani pozwoli się odprowadzić?

— Owszem, nie lubię chodzić sama, a dziś Włodek ma dyżur.

— To narzeczony?

— Nie... Kuzyn.

Szli Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem. Lulu ożywiona, wesola, rozmawiała bez przerwy i odpowiadała śmiało na pytania towarzysza.

— Panno Luizo, mam pewną prośbę.

— Słucham.

— Pójdziemy razem do kina...

— Kiedy?

— Choćby dziś.

— Dziś nie mam czasu. O piątej idę na wykład, o dziewiątej na randkę. Panna Tosia obiecała mi przedstawić jakiegoś miłego chłopca, który mógłby zostać moim przyjacielem.

— O... będę zazdrosny...

— Czemu? Pan też jest szalenie miły i obiecuję kino na jutro.

I tak Luiza została wprowadzona w świat. Od tej pory bywała i w cukierni, i w restauracji, zawsze w towarzystwie mężczyzn, którzy wspaniale bawili się ze śliczną dziewczynką tryskającą humorem i dowcipem, a tak przy tym różniącą się od innych. Jej ruchy były leniwe i płynne, a głos pełen pieszczoty; kiedy mówiła, miała zwyczaj przechylać główkę i jak dziecko przeskakiwać z tematu na temat bez logicznego ich związania. Gdy się z czegoś cieszyła, klaskała w ręce i wybuchała kaskadą miękkiego, ciepłego śmiechu. Adorujący ją panowie byli tylko jednego szalenie ciekawi, czy Lulu udaje naiwną, będąc wyrafinowaną kokietką, czy też jest po prostu bezczelna, bo czymże było wytłumaczyć niektóre jej powiedzenia i zwierzenia. Raz na przykład, siedząc przy obiedzie w restauracji, dokąd zabrali ją prosto z biura koledzy, palnęła:

— A ja wczoraj byłam w gabinecie... ha!

Siedząca obok przyjaciółka szturchnęła ją nieznacznie, ale to nie zmieniło Luizy.

— Z kimże to, panno Lulu? — roześmieli się panowie.

— Z panem Tomsem!

— Aha, to z ciebie gagatek... naciągasz niewinne panienki na gabinety...

— Ależ ja już nie jestem niewinna...

I podobnych kawałów można było naliczyć tysiące.

W mroźny lutowy wieczór wracała w towarzystwie trzech studentów z akademickiego klubu. Była w świetnym humorze, rozśpiewana, roześmiana, gdy naprzeciw ujrzała kuzynki, Marysię i Ziutę. Skinęła im głową z uśmiechem, ale nazajutrz gorzko odpokutowała swój humor.

Gdy wróciła na obiad do domu, zastała dziadka ze ściągniętymi brwiami. Obsypał ją gradem wymówek i zarzutów.

— Jak możesz... jak możesz, Lu, kompromitować w ten sposób moje nazwisko!

Włóczył się z mężczyznami o późnej godzinie gdy ja myślę, żeś na wykładach.

— Ależ, dziadziu, wracałam z klubu, tam bardzo dużo chodzi panienek, zresztą nie wiedziałam, że ci zrobię tym przykrość... No, daruj mi, dziadku... już się poprawię.

I udobruchała starca bardzo szybko.

A kiedy nazajutrz przed gmachem biurowym żegnała się z koleżankami, ujrzała idącego naprzeciw Bergera. Zbladła okropnie i gdy on podszedł i bez słowa całował jej ręce, drżała febrycznie i zaciskała mocno usta, by nie krzyknąć.

— Nie miałem od ciebie wiadomości, Lulu... tak rzadko pisywałaś, nie mogłem dłużej tęsknić... Będę na polibudzie,

— Kazik... Kazik... — szeptała, patrząc nań z uwielbieniem.

— Jaka ty zrobiłaś się cudna, jaka inna... Chodź do Łazienek, niechże ci się napatrzę bez tych gapiów.

Poszli przytuleni do siebie... rozkochani, nie obchodziło ich nic. W zacisznej alei usiedli na ławce. Lulu opowiadała o swym teraźniejszym życiu, on o swojej tęsknocie.

— Przyjdź do mnie, Kaziu.

— Nie, maleńka, nie chcę uchodzić za narzeczonego, lepiej ty przyjdź do mnie... tymczasem mieszkam w hotelu.

— A czy to wypada?

— Ach Lulu, my będziemy się liczyć z takimi głupstwami? Nie wstyd ci? Nie możesz ponieść dla mnie takiej ofiary?

— Mogę... mogę... ale przecież u mnie też bywają koledzy w niedzielę, w święto... dziadek mi nie zabrania tego.

— Czy myślisz, że mógłbym przebywać z tobą na konwencjonalnej stopie, zrozum Lu, przypomnij sobie, co powiedziałaś w dzień odjazdu: będę twoją... A więc...

— Dobrze... dobrze... zrobię wszystko co zechcesz. Odprowadź mnie na wykład, mam dziś bardzo ważne kolokwium.

— Ależ z ochotą... przedtem jednak pójdziesz ze mną na obiad.

— Czy do gabinetu?

Kazimierz zamienił się w słup soli... Czy to jego naiwna mała Lu powiedziała te słowa?

— Co?... co?...

— No nic, pytam się. Toms zawsze zabiera mnie do gabinetu, mówiąc, że nie znosi gapiów i skrępowania, Ja to też wolę... tylko zawsze chce mnie na deser pocałować... nawet raz rzuciłam w niego kieliszkiem wina.

— Lulu... Lulu... ty chodzisz z obcymi?... do gabinetu?...

— Nie, to nie obcy, to kolega, on mnie bardzo lubi i powiedział, że jestem kwiatek wiosenny, któremu nie ma serca wyrwać ani jednego płateczka, choć ma ochotę... czeka aż przyjdzie czas... Właściwie nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale niech sobie plecie, co chce.

— Od dziś będziemy chodzić razem na obiady,

— Nie mogę co dzień, bo dziadek gniewałby się.

— No to czasem... ale żebyś mi nie ważyła się iść z nikim więcej, rozumiesz?

— O... jaki czerwony i zły... Dobrze... dobrze... Już będę grzeczna.

Przed wejściem do uczelni Kazik ucałował dziewczynkę. Wieść ta na setnych skrzydłach przeleciała przez uniwersytet i koleżanki zaczęły urabiać Luizie opinię w tajemniczych szeptach.

W domu panienka zastała Włodzimierza, który miał zamiar palnąć jej porządne kazanie za włóczęgę po kinach i cukierniach. Zniewolił go do tej misji stary Jarocki, nie mając odwagi zrobić wnuczce przykrości... wczoraj za prędko dał się przeprosić... za prędko uległ, a Luizę trzeba przecież ujarzmić.

Na odgłos kroków dziewczyny Włodek nastroił się odpowiednio, ale został od razu wytrącony z równowagi niespodzianym powitaniem. Luiza zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się głośno. Pan Jarocki w swoim gabinecie zatkał uszy i gorączkowo zaczął przeglądać gazety. Był pewien, że Włodek zbyt ostro karci *nieznośną smarkatą* i żałował z całej duszy swego pomysłu.

— Co ci jest Lulu... miałaś jaką przykrość? — pytał niespokojnie Bielski.

— Ach nie... nie... słuchaj. Kazik przyjechał... mój Kazik!

Włodzimierz zlodowaciał.

— Za mało masz jeszcze wielbicieli, prawda? Chcesz tu pod dachem siwego człowieka kontynuować stosunek, który uważałem za nieodpowiedni i dążyłem do tego, by zerwać dziecinne głupstwa, mogące się skończyć tragicznie... Czy ten pan jest narzeczonym twoim? Dlaczego nie przyjdzie uczciwie do dziadka i nie poprosi o pozwolenie bywania tutaj?... Pierwsze spotkanie na ulicy... ładna perspektywa...

— A ty jakie prawo masz robić mi uwagi? — spytała nagle dumnym, złym głosem.

— Jestem odpowiedzialny za ciebie wobec dziadka, któremu przedstawiłem cię w najlepszym świetle. Nosisz jego nazwisko. Więcej uwag nie będę ci zwracał; pamiętaj, że przyjdzie żal, ale po niewczasie — ukłonił się sztywno i wyszedł.

Aleje Ujazdowskie zasnęły w księżycowej ciszy. Długie sznury drzew, błyskotliwe świeżo spadłym pachnącym przestrzenią puchem, wyciągały się w dal jakby bezkresną. Srebrny most nieskończoności. Ucichły dzwonki sanek. Poznikały w buchających światłem i gwarem ulicach ostatnie ludzkie sylwetki. Aleje śniły sen milczenia.

A wtedy ukazał się w nich samotny człowiek i szedł wolno przed siebie... Ciemna plama na wykrzesanej nieskalanej białej przestrzeni.

Włodzimierz szedł z opuszczoną głową. Cisza i spokój zamiast ukoić, drażniły go dziś niewymownie. Powodem oczywiście była Luiza.

Od czasu jak przyjechała do Warszawy, nie miał ani jednej chwili spokojnej, wiedział od usługowych kuzynek o wszelkich jej wybrzykach, o spacerach i kolacyjkach... Trochę nie wierzył... trochę brał to ze strony humorystycznej... ale w gruncie rzeczy bał się o nią i czekał, co będzie dalej. Jeżeli jest prawa i szlachetna, wyjdzie zwycięsko z pierwszej potyczki z nieznanym dotąd życiem... Tymczasem z dnia na dzień było gorzej. Rodzina wierciła mu dziury w uszach, że wpakował naiwnemu staruszkowi na kark kokotę... Dostawał też i liczne anonimy. Obiecywać sobie przeczekać jeszcze trochę i ostatecznie poślubić Lu. Wtedy zamknie gęby, a i małe utrapienie przytrzyma w karchach.

Ale przyjechał Kazik... i tu rozwiały się nadzieje Bielskiego jak domek z kart. Co teraz robić, czy jest wyjście?... Zostawić losowi dziewczynę, którą mimo wszystko tak bardzo kocha? O Bergerze zebrał potrzebne wiadomości i dlatego współczuł Luizie, bał się o nią, o jej przyszłość.

Głębokie bruzdy porysowały męką i znużeniem poważną, mądrą twarz. Postanowił jeszcze czekać i powoli oddziaływać na Luizę... ale w rezultat wątpił.

Pojawienie się na widowni nowego wielbiciela słodkiej Lu dotychczasowi adoratorzy i

koledzy przyjęli z niechęcią. Przybywał im groźny rywal. Widać to było ze sposobu, jakim witała oczekującego na nią przed biurem młodzieńca, z jego pewnej siebie, zadowolonej, uśmiechniętej twarzy.

Dotychczas żaden nie mógł się pochlubić specjalnymi łaskami Luizy. Dla wszystkich była jednakowa i nieodgadniona. Chodziła na kolacje, do kin, do teatrów, najniemożliwszych kawałów słuchała ze spokojną, trochę zdziwioną minką, ale gdy który chciał ją pocałować, potrafiła uderzyć w twarz i zbesztać jak niesfornego uczniaka. W tańcu dała się przyciskać i szeptać najczulsze słówka, ale niech który spróbował zrobić to w czasie spaceru lub w kinie... był zgubiony w oczach Luizy na zawsze.

I tak wciągnęła w swój rydwan zwycięski wszystkich, którzy ją otaczali, zyskując przydomek *boskiej*. *Boska Lu* nazywano ją powszechnie.

Koleżanki biurowe, może w głębi duszy trochę zazdrosne, nie okazywały tego nigdy, nie zrobiły też pupilce najmniejszej przykrości, choćby dlatego, że była im wygodna... Bez śladu skrzywienia przyjmowała prośby o wyręczenie w pracy... czasem w dyżurze... na wesołe bibki chodziła też zawsze w towarzystwie koleżanek, które dzięki temu miały możliwość doskonale się bawić. Często zdarzało się, że na zaproszenie odpowiadała odmownie.

— Co... ja sama... a was będzie sześcioro?... Nie chcę... zaprosicie Tolę... Zosię... Helenkę... itd.

— Ależ my chcemy tylko w swoim kółku...

— Ani mi się śni... Rozerwalibyście mnie. Albo zaprosicie tamte, albo nic z tego. Pójdę z panem Tomsem do kina.

Oczywiście postawiła na swoim, zyskując wdzięczność panien zainteresowanych. Za to inaczej zupełnie było na uniwerku. Tam płeć piękna stale i zdecydowanie odnosiła się do niej wrogo. Powodem była zazdrość wyładowywana w zjadliwych szeptach, uwagach i docinkach. Luizę zaś powodzenie zaczęło bawić i podniecać. Chciała pokazać Kazikowi, że jest otoczona wielbicielami. Chciała wywołać w nim zazdrość. I o ile dawniej kokietowała bezwiednie, teraz robiła to z całą świadomością. Wpatrywała się w młodzież swymi bezdennymi, lśniąco oczyma, uśmiechała się tajemniczo, ale nikt nie mógł powiedzieć, że Lu flirtowała, gdyż nigdy nie prowadziła rozmowy bezmyślnej... i nie lubiła mówić o sobie.

Kazimierz zaś od razu spostrzegł, że Lulu, to już nie cicha, skromna dziewczynka, ale pełna ognia i ponęt kobieta... Miłość jego przeszła w rodzaj szału... Widok dziewczyny budził w nim gorączkę... Ach, mieć ją raz, a potem niech cały świat diabli wezmą... Ale wtedy na rozedrganym sercu kładł chłodną rękę strach: a jeśli Lu przestanie cię kochać, jeśli zrozumie swą krzywdę...

— Czemu... czemu ty jesteś taka jeszcze głupiutka — syczał — Lulu, dziecinko... kiedy przejrysz... ślepa dziewczynko, głuptasio...

— Dlaczego jestem głupia...

— Bo tak... ale i ja jestem głupiec... głupiec skończony... tchórz!

Któregoś dnia, gdy przyszła do niego, było to już w maju, podał jej grubą książkę pod tytułem: *Zagadnienia seksualne*.

Luiza spojrzała na tytuł...

— Czy to filozofia?... Świetnie, akurat mam egzamin.

— Nie, Lulu, to filozofia życia i miłości! Przeczytaj to jak najprędzej...

— Dobrze! — i schowała książkę do teczki.

Tego samego wieczoru, objąwszy go za szyję, szepnęła:

— Kazik, mnie tak smutno odchodzić od ciebie... Ja bym tak chciała zostać twoją żoną.

— Nie, Lulu, to niemożliwe, prysnąłby cały czar naszej miłości... Ale kochana moja,

przeczytaj książkę, którą ci dałem, dużo rzeczy zrozumiesz i wtedy mi odpowiesz, czy zgadzasz się na każdą dla mnie ofiarę.

Ale nie sądzone było dziewczynie odpowiedzieć. Na drugi dzień, była to niedziela, zapukał do pokoju Luizy Włodzimierz, ona właśnie wyjęła z teczki książkę, chcąc przeczytać.

— Dzień dobry, Lulu, czy nie masz ochoty przejechać się do Wilanowa?

— Owszem, ale po obiedzie. mam bardzo ciekawą książkę. Dostałam od... Kazika...

— Pokaż mi... dobrze?

— Ależ proszę...

Rzucił okiem na tytuł, przybladł, potem zaczerwienił się i rzekł dobitnie:

— Nie, Lulu, ty nie przeczytasz tej książki.

— A to dlaczego?

— Bo to nie dla ciebie... Lulu, błagam cię, pierwszy raz w życiu, zerwij z tym zbrodniarzem, co chce zatruć twą duszę... słyszysz? On jest twoim nieszczęściem...

— Jeśli tylko tyle masz mi do powiedzenia, to idź sobie, nie pojedę na spacer...

— Nie jedź... książkę zabieram.

— Oddaj!

— Nie.

Zaczęli się szarpać. Wreszcie silniejszy Włodzimierz rzucił brutalnie dziewczynę na łóżko, a sam wybiegł z pokoju i drzwi zamknął na klucz. Błady i drżący, po długiej konferencji z Jarockim poszedł do siebie... Lu zaś została w swoim pokoju do późnego wieczora, wylewając strugi łez.

Na drugi dzień, prosto z biura pobiegła do Kazika i opowiedziała mu wszystko,

— Czemu pokazałaś mu książkę — krzyknął wściekle.

— Czy to było co złego? Jeżeli tak, to po coś mi ją dawał, Kaziku?

Te pełne bolesnego wyrzutu słowa podziały na chłopaka jak cięcie biczem. Rzucił się przed ukochaną na kolana i szeptał zakłęcia miłosne, całując jej smukłe nóżki,

I gdy prawdziwe głębokie uczucie walczyło z pragnieniem i krzykiem zmysłów, gdy oboje w szalonych uściskach i pocałunkach trawili godziny, pod oknami, na ulicy chodził Włodzimierz, zacisnąwszy pięści w kieszeniach ubrania, i przeżywał piekło. Czemu, czemu nie mógł zdobyć się na obojętność wobec tej dziewczyny. O, męko przeżywanych widzeń. O, męko słów pieszczoty wpadających w naprężone uszy, co, zdało się, przenikają ściany.

Tak upłynął szereg dni... egzekucji wykonywanych na duszy Bielskiego. Kiedy widział wychodzących z bramy kochanków: Luizę z twarzą i ustami w płomieniach, ustami, na których krzyczały jeszcze pocałunki tego uwodziciela, chował się w tłum pod ścianę i zgrzytał zębami. Teraz nie miał już wątpliwości, że Lu jest istotnie kochanką Bergera.

Jakiś czas walczył z tym przypuszczeniem. Teraz nabrał pewności. Owa książka w rękach Luizy była corpus delicti⁽³⁾... Sam nie wiedział dlaczego... Albo Kazimierz chciał ją w ten sposób roznamiętnić, albo uchronić przed ewentualnymi skutkami miłości... albo... Zaciskał ręce, zgrzytał zębami i przyznawał się, że nie wie... nie wie, ale jest pewien, że Lu oddała się Bergerowi.

Wreszcie zdecydował poważny krok. Pewnego dnia wyszedł z biura wcześniej i udał się do mieszkania Kazimierza.

Ten przyjął go z nieukrywanym zdziwieniem.

— Przyszedłem tu do pana, jak do człowieka uczciwego, zapytać, jaki stosunek wiąże go z Luizą, jeśli to miłość, czemu jej pan nie poślubi. Czyż trzeba mówić o krzywdzie, jaką pan jej wyrządza, czy pan nie wie, że opinia rzuca na nią błotem?

— Luiza jest wyższą ponad sądy tłumu i kochając mnie, zgodzi się ponieść tę ofiarę.

— A jaką ofiarę pan dla niej ponosi? Dlaczego tylko ona ma być stroną poświęcającą się, Coś jej pan dał w zamian za czystą i niewinną duszę?

— Dałem jej miłość, o jakiej pan zapewne nie ma pojęcia.

— Ach, tak. Uwieść dziewczynę, rozpałcić jej zmysły, zabić w niej to, co najpiękniejsze, narazić na obrzucanie błotem po twarzy, to u pana miłość, ale ta wielka „nie do pojęcia” miłość, nie zastąpi jej ciszy domowego ogniska i pozycji w świecie. Nie, panie, ja na to nie pozwolę, albo się z nią ożenisz, albo zapomnij o niej i usuń się na zawsze.

Berger spłoszył.

— Co? Pan do mnie tak śmie mówić, pan śmie proponować zerwanie? Nigdy! Ożenić się nie mogę bo jest to przeciwne moim zasadom, ale... jestem pewny jej miłości, wiem, że pójdzie za mną wszędzie.

— Nie pójdzie... nie pójdzie — przerwał Włodzimierz. — Proszę nie egzaltować się, myśląc, że jest za rozsądna. Ale czym pan wynagrodzi jej wyrządzoną krzywdę, bo wiem, że ona odejdzie... ale co jej dasz za złamane serce, za skradzione dziewictwo... zbrodniarzu!

Berger zachwiał się. Podświadomie odczuł, że ten obcy, nienawistny człowiek zabiera mu jego słodką, małą Lu. Spazm rozpaczy zacisnął palce na krtani chłopaka... wyjąkał mimo woli:

— Nieprawda! Nie miałem jej... ale ona zostanie przy mnie.

Włodzimierz chwycił go za ramiona i trzęsąc nim jak martwym przedmiotem, syczał:

— Kłamiesz... kłamiesz... przyznaj się!

Zapadła chwila ciszy, wśród której było słycać tylko dwa przyśpieszone oddechy.

Berger był trupio bładny... wreszcie rzekł stężonym, martwym głosem:

— Nie miałem Luizy, żałuję tego, nie odebrałbyś mi jej teraz, a tak... — usiadł ciężko na krześle i ukrył twarz w dłoniach...

— Czemu więc pan nie chce się z nią ożenić, jeśli tak bardzo kocha?...

— Bo to jest niezgodne z moimi przekonaniem, bo koledzy kpiliby ze mnie... bo wiem, że prysnęłoby coś z czaru, jaki nas związał... Nie mogę... nie... nie mogę.

W tej chwili ktoś zapukał i w drzwiach ukazała się główka Luizy.

— Kaziu, nie przyszedłeś po mnie... cze...

Nie dokończyła. Oczy szeroko rozwarte spoczęły na Włodzimierzu. Ten podszedł do niej,

— Chodźmy, Luizy, nie wart jest twojej miłości ten człowiek. Nie kocha cię. Szkoda każdej z nim przeżytej chwili... chodźmy stąd.

Krzyknęła rozpaczliwie i przytuliła się do Bergera. Objął ją mocno i rzekł:

— Widzi pan? Nie odejdzie ode mnie. Moja jest i będzie... Wyjedziemy stąd jutro na nowe cudne życie.

— Nie, panie! Lulu, spokojnie, posłuchaj! Pan Berger oświadczył mi, że nie ożeni się z tobą nigdy, że gotów jest narazić cię na sztylety opinii... Cicho... nie mów nic. Słuchaj! A kiedy przejdą chwile szału, bo to szal, nie miłość, zostawi cię i poszuka innej. Co zrobisz, gdzie pójdiesz, kto da opiekę i szacunek kobiecie. Społeczeństwo będzie cię wytykać palcami, a jeśli znajdzie się ktoś, kto ośmieli się ci współczuć, narazony będzie na drwiny. Wolna miłość nie dla takich wiotkich kwiatów jak ty, Luizy... Nie umiesz kłamać... Nie będziesz szczęśliwa. Pomyśl, opamiętaj się.

W miarę słów Włodzimierza, twarzyczka Lu bladła, oczy jej rozszerzyły się i nabrały groźnego blasku... opadły ręce, obejmujące chłopca...

— Kazik... zaprzecz, powiedz coś... Kazik — szepnęła rozpaczliwie.

Ale on stał jak martwy... poruszył tylko wargami... Cóż było mówić... czy mógł przysiąc jej wieczną miłość?... Wiedział to, że teraz kocha ją nad życie, ale co będzie potem? Wyciągnął do niej ręce:

— Lulu... pomyśl...

Dziewczyna wpatrywała się w niego z natężeniem... Jeszcze czekała... jeszcze moment łudziła się, że Kazik powie upragnione słowa... ale w miarę jak patrzyła, traciła nadzieję, w oczach stanęła jej splakana twarz pani Zofii, ironiczne miny kuzynek...

— Kazik, miej litość... powiedz coś — rzekła głucho.

Milczał.

Jeszcze minuta ciszy i nagle Lulu wyciągnęła rękę do Bergera.

— Bądź zdrow i szczęśliwy... zrozumiałam i ustępuję!

Odwróciła się i szła ku drzwiom, za nią Włodzimierz, zasłaniając oczom Kazimierza smukłą postać. Zniknęli za drzwiami.

Upłynęła długa... długa chwila. Kazimierz potarł ręką czoło i nagle rzucił się na ziemię, szlochając:

— Lulu... Lulu!

Luizę Włodzimierz odwiózł do domu. Tu zemdląta parę razy, dostała spazmów... Pod wieczór przyszła silna gorączka. Trzeba było położyć ją do łóżka.

Nad majaczącą pochylał się co chwila to Jarocki, to Włodzimierz... Z rozchylnych ust padały nieprzytomne wyznania i skargi: Kazik... proszę cię... twoja jestem... czemu nie chcesz mnie za żonę... to ja nigdy nie będę miała swego domu... swego synka?...

Włodzimierz trzymał rozpalone drobne ręce w swych dłoniach i płakał.

Po trzech dniach Lulu wstała, ale była tak słaba, że do biura nie mogła iść jeszcze, natomiast zjawił się z samego rana Włodek, podszedł do siedzącej na kanapce pod oknem dziewczynki i w milczeniu całował jej ręce. A potem usiadł obok i przytuliwszy jej głowę do piersi szeptał:

— Nie gniewaj się maleńka za to, co zrobiłem. Wiem, cierpisz bardzo, ale zwyciężysz. Możesz mnie zniechęcić Lulu... zrozum jednak, że innego wyjścia z tej sytuacji nie było. Czy wiesz, ile dziadek dostał anonimów rzucających na ciebie potępieniem i wzgardą, ile nocy bezsennych strawił, a przecież milczał, bo nie chciał pytać cię, czy to prawda... Ale wreszcie miarka się przebrała. Zrozumiałem teraz dużo rzeczy, domyśliłem się wielu. Wiem, żeś bardzo nieszczęśliwe dziecko, bo nieświadome grozy sytuacji, w jakiej postawił cię Berger. Nie miałaś matki, która wytłumaczyłaby ci wiele zjawisk życiowych. Ja nie mogę, przynajmniej na razie. Nie chcę zdzierać z twych oczu różowej zasłony złudzeń, ale przyjdzie czas, że może wyjaśni wszystko. Tymczasem chcę zdobyć prawo do otoczenia cię swą opieką, chcę zasłonić przed złymi językami i dlatego proszę o twoją rękę. Nie myśl, że od razu chcę ci zawiązać życie... Broń Boże. Pragnę tylko nazywać małą Lu swoją narzeczoną i czuwać nad nią.

Milczała długą chwilę:

— A jeżeli... jeżeli... Kazik do mnie wróci... Jeżeli kocha mnie naprawdę

— Rozstrzygniesz oczywiście sama.

— A dlaczego nie możesz opiekować się mną tak... jako kuzyn?

— Bo choć jestem od ciebie dużo starszy, jednak za młody, by ludzie uwierzyli w bezinteresowną miłość... Ale czemu płaczesz znowu Lulu, przecież nie żądam od ciebie natychmiast odpowiedzi, zastanowisz się, pomyślisz...

— Ja nie tego... nie tego... ale gdy przypomnę... gdy... o Boże... Już nigdy Kazika... nigdy!

Głuchy skowyt zadygotał w jej piersi. Gryzła palce, a twarzyczka wyrażała tak bezkresną rozpacz, że Włodek odwrócił głowę. Nie mógł patrzeć na mękę ukochanej istoty. Drżącą ręką gładził jej puszyste lśniące włosy.

— Lulu spokoju... spokoju... zapomnisz... będziesz szczęśliwa.

— A ja go tak strasznie kochałam... Boże! Boże!

— Wiem dziecko, ale jestem pewien, że po upływie pewnego czasu, gdy się spotkacie, powitasz go najswobodniejszym uśmiechem. To co przeżyłaś, przejdzie... rozplynie się w nowych falach ogarniającego cię życia, które przecie kochasz...

Lulu płakała teraz cicho, coraz ciszej... wreszcie zmęczona i osłabiona przytuliła się do kuzyna jak maleńkie dziecko i usnęła.

Włodek zawołał pokojówkę, która uwielbiała swą panią i polecił jej rozebrać łóżko... potem sam zaniósł śpiącą i ułożywszy na poduszkach, ostrożnie pocałował zamknięte oczy. Wyszedł na palcach.

Od tego dnia Lu została półoficjalnie narzeczoną Włodzimierza. Mówiła o tym ze złośliwym uśmiechem cała rodzina... Dziadek się cieszył, a Lu?... Ona zarzucała Włodekowi ręce na szyję, uśmiechała się do niego, kokietowała przy wszystkich wyzywająco, a wieczorem leżała w koszulce na gołej ziemi i tłukąc głową o twarde zimne deski jęczała:

— Kazik... Kazik...

Gdy usłyszała dzwonek, zmieniała się w słuch każdym nerwem... Może... może on! Gdy przychodził listonosz, wybiegała do niego z twarzą w płomieniach, pytając:

— Do mnie nie ma? — I otrzymawszy odpowiedź przeczącą zamykała się w swoim pokoju i nie płakała, ale wyła po prostu. Nie mogła zrozumieć, dlaczego odszedł od niej, nie mogła wytłumaczyć przed sobą jego okrutnego czynu, choć chciała. Tyle marzeń, tyle snów podeptał... za co?... na co?... Nie kochał... czyżby nie kochał?... Biegała jak szalona po pokoju... przypominała sobie jego uśmiechy i pocałunki... rozbudzone zmysły uderzały do głowy szumem i zamętem... Krwawa tęsknota naznaczyła twarzyczkę dziewczyny dziwnym wyrazem. W najtajniejszych zakątkach serca zakwitła chęć zemsty... Nie będzie już teraz dbać o czystość swych ust... co tam... nie warto... niech całuje, kto chce...

W biurze zaś tracili głowy dla bladej dziewczynki wszyscy, doprowadziła do tego wyrafinowaną już teraz zalotnością, tajemniczymi uśmiechami i spojrzeniami... Teraz też nauczyła się kłamać.

— Lulu, dlaczego wróciłaś tak późno z wykładu?

— Było zebranie Bratniaka⁽⁴⁾... wyszłam nawet wcześniej od innych i jestem bardzo zmęczona.

A to zebranie odbyło się w gabinecie pierwszorzędnej restauracji w towarzystwie czterech kolegów, oblewających święto jednego z nich.

Lub jeszcze inaczej:

— Włodek nie przychodź po mnie dziś do biura, bo mam zebranie w sprawie podwyższenia pensji, nie wiem, kiedy się skończy.

I szła prosto z biura na obiad, potem do teatru... lub klubu...

A w tym samym czasie Kazimierz chodził jak błędny. Nie jadł, nie spał, wałęsał się po mieście i suchymi ustami powtarzał:

— Lulu... Lulu.

Pisał listy i darł je na kawałeczki... bo i po co pisać, kiedy czuł, że wszystko stracone. Zaś na ustępstwo nie mógł się zdobyć. Co powiedzieliby towarzysze?... Zresztą on sam nie postąpił wbrew przekonaniom... nie da się wciągnąć w kierat małżeńskiego pożycia... Cudna Lu piorąca pieluszki... a on w ciepłych pantoflach... Brr... straszne... gdzie tu poezja... gdzie czar miłości.

⁽¹⁾ egzaltacja – stan zachwyty, uniesienia; przesada w okazywaniu uczuć i wyrażaniu

myśli.

⁽²⁾ *Mała Ziemiańska* – znana warszawska kawiarnia okresu dwudziestolecia międzywojennego. Mieściła się przy ul. Mazowieckiej 12. Nazwę zawdzięczała swojemu sąsiedztwu z Towarzystwem Kredytowym Ziemskim. Stanowiła jedno z najważniejszych miejsc spotkań inteligencji warszawskiej tamtego okresu.

⁽³⁾ *corpus delicti* (łac.) – dowód świadczący o przestępstwie.

⁽⁴⁾ *Bratniak*; *Bratnia Pomoc* – nazwa studenckich organizacji samopomocowych, tworzonych od połowy XIX wieku przy polskich uczelniach.

ROZDZIAŁ V

Tańczący wieczór w klubie młodzieży akademickiej. Orkiestra gra jeden po drugim namiętne walce. Błyszcza młode oczy. Sala pełna gwaru i śmiechu. Od jednego do drugiego końca sali przebiega melodia nucona przez tańczących, tak jakby nie wystarczała orkiestra. Młodzi zapominają o pracy, o egzaminach, o dziurawych butach i pustych żołądkach. Bawią się. A między nimi szaleje Luiza, cała w uśmiechach... rzuca powłóczyście spojrzenia, kołysząc się sennie w takt melodii. Na gorące szepty, szeptem odpowiada... na uśmiech uśmiechem. Z rąk do rąk przechodzi, błyszcząc wyzywająco białymi nagimi ramionami. Ociera się o tancerza jak kotka i rozchyła purpurowe usta. A w duszy jęk... skarga: *Kazik! Kazik!... zapomnieć nie mogę!* Nie było na sali młodzieńca, który by nie zwrócił uwagi na *boską Lu...* Zachwycali się nią po cichu i głośno... ale ona zauważyła, że pod ścianą stoi zgrabny, czarnooki chłopak i nie spuszcza z niej oka na moment. Przesunęła się koło niego i podniosła niby niechcący oczy.

Za chwilę podszedł do Lulu i poprosił o taniec. Skinęła wolno główką. Położyła mu rękę na ramieniu i dała się lekko przycisnąć, nie odwracając oczu od płonących źrenic chłopaka. Uścisk był coraz mocniejszy. Uśmiechała się leniwie, kusząco i przymknęła oczy, gdy nagle usłyszała szept:

— Salome⁽¹⁾... Salome... czarodziejko!

— Dlaczego pan mnie tak nazywa?

— Nie wiem sam. Jesteś jak sen, porywasz mnie!

— Chcę ci się podobać. Taki jesteś miły.

— Wyjdźmy już. Chcę być z tobą sam... ty bajko!

— Nie ma w życiu bajek, a jeśli są, kończą się bardzo smutnie.

— Wszystko mi jedno. Chodź... prześnimy cudny sen. Chodź. Wieczór cudny. Nie chcę cię widzieć w innych ramionach.

Dała się namówić... Wyszli. Na ciemnym podwórzu schwycił ją wpół i zaczął całować bez pamięci... Nie broniła się wcale... Poszli do jakiegoś kina... Zasunął firanki łoży i zdjąwszy palto Luizie, znów zaczął ją całować, wreszcie wyszeptał.

— Chodź do mnie... sam mieszkam... chodź, prześnimy czarowny sen i

A Lulu wstała, wzięła palto i rzekła z ironicznym uśmiechem:

— Nie mam ochoty... nudzę się i myślałam, że będzie coś ciekawszego w tej przygodzie.

Młodzieniec osłupiał, ale nim zdążył się opamiętać, już jej nie było.

A Lu biegła szybko ulicą, do twarzy i włosów lgnęły płatki wirującego śniegu... na ulicach było pusto i cicho, dziewczyna patrzyła przed siebie osłepłymi od łez oczyma i wyobrażała sobie, że tak będzie już zawsze... jakieś ogromne puste drogi i ona sama... sama... ponizona i zbrudzona pocałunkami niekochanych ust.

Na drugi dzień, gdy przyszła z biura na obiad, dziadek oddał jej list.

— To zdaje się do ciebie.

Błada jak płótno wyciągnęła drżącą rękę, ale gdy rzuciła okiem na adres, po charakterze pisma poznała, że to nie od Kazika.

Otworzyła i szybko przebiegłszy oczyma, krzyknęła radośnie:

— Ach pysznie, będę się wspaniale bawić... wiesz dziadku? W klubie formują koło artystyczne, będziemy urządzać przedstawienia i zaproszona jestem do udziału.

— Ależ Lulu, czy to wypada? Chcesz zostać aktorką?

— A co to złego dziadku?

— Nie życzę sobie, by moje nazwisko było na wszystkich ustach.

— Dziadku! Przecież to studenci tylko... to nie w teatrze.

— Nie jestem zadowolony, Luizo... (gdy się gniewał, Lulu była Luizą).

Spuściła główkę zachmurzona. W tej chwili usłyszała dzwonek, pobiegła otworzyć, a ujrawszy Włodzimierza, od razu przypuściła szturm.

— Włodziu... Włodeczku... przemów za mną, proszę cię, mój drogi.

— O co chodzi, Lulu?

Tłumaczyła mu długo i wymownie,

— Dobrze! — odpowiedział krótko i poszedł do pana Piotra. W gruncie rzeczy sam był przeciwny nowemu „szaleństwu” dziewczyny, ale chodziło mu o to, by Lu zapomniała o swoim bólu.

I uszczęśliwiona panienka wieczorem pobiegła na zebranie, Ponieważ miała śliczny, melodyjny głosik, zaproponowano jej dział piosenek, ale ona wolała tańczyć.

— Kiedy naprawdę, daleko więcej wypowiem tańcem niż słowami, żadna... żadna piosenka nie odda tego, co czuję, zresztą jeżeli wam brak lekkiej pieśniarki, to od czasu do czasu mogę wam coś zakwilić, tylko uprzedzam, nic poważnego, bo za mały mam głos.

W pierwszą środę karnawału wyznaczono inauguracyjny koncert w klubie. Przez święta odbywały się gorliwe próby. Aż wreszcie nadszedł dzień! O ósmej godzinie szczelnie zapełniła się sala. Ciekawie przeglądano programy, gdzie na końcu, obok dużego znaku zapytania, widniało imię *Lu* i nic więcej.

Po szeregu udatnych numerów, między którymi był i śpiew chóralny, deklamacje, gra na skrzypcach i fortepianie, śpiewy solowe i dowcipne monologi, zgaszono na scenie światło. Z reflektora trysnął czerwony snop promieni i wtedy w owej krwistej smudze stanęła Lu owinięta czarną miękką materią.

Orkiestra zaczęła Chopinowskiego walca. Lulu podniosła w górę nagie ręce, w których trzymała gazowy zielony szal i stała chwilę nieruchoma, jakby wsłuchując się w rytm melodii. Powoli, niby od niechcienia, jęła kołysać ciałem... przechylać się niedbale... przeżyć strzeliste nóżki w jakieś przedziwne, zwinne pas⁽²⁾.

A melodia rozśpiewała się w czar wiosennej nocy. Cisza, wśród której dzwonią serca wszystkich kwiatów... cisza, wśród której ziemia czeka na święto spełnienia pragnień, na ową tajemnicę, coś, co przyjsć musi! I Lulu jest teraz wcieleniem wszystkich cudów majowej nocy... krąży... nasłuchuje, gnie się w takt dzwonięcia falującej młodej krwi.

A pośród nocy kroczy jakaś samotna dusza ludzka i razem z naturą czeka cudu.

I przychodzi szczęście... szał... wir cudownego zapamiętania się – zapomnienia. Luiza wabi... czaruje... wyciąga ramiona... ofiarowuje całą siebie oczom łaknącym... objęciom wymarzonemu.

Poprzez strugę roześmianych lekkich dźwięków wpłynęło smutne, pełne zadumy westchnienie. Wszystko w życiu ma swój kres, mija czar i upojenie. Spełniona obiata⁽³⁾ młodej krwi. Żal... żal... żal...

Opadają ręce, smukłe ciało kurczy się w sobie, choć oczy jeszcze śledzą znikający w przeszłości obraz... coraz wolniej bije serce, na które sływa już cisza śmierci.

Lulu zastygła w bezruchu na ziemi. Ucichła muzyka i opadła kurtyna. Dopiero teraz zaczął się tumult, klaskano i tupano zapamiętane. Ze wszystkich piersi brzmiał okrzyk: *Lu, Lu!*...

prosimy jeszcze!

Wyszła uśmiechnięta, dziękując za owacje, ale tańczyć już nie chciała.

— Nie mogę więcej tańczyć, bo nie mam odpowiedniego kostiumu. Musicie państwo poczekać do przyszłej środy.

Ale to nie uspokoiło młodzieży. Po krótkiej naradzie za kulisami, jeden z uczestników przedstawienia zasiadł do fortepianu, a Lu, stanąwszy przy nim, zaczęła:

Madame Lulu...

Stara trochę piosenka, ale w interpretacji Luizy niezrównana. Co za uśmiechy, minki... spojrzenia... Co za gestykulacja!!

Włodzimierz stał w głębi widowni i przeklinał w duchu swą nieopatrzoną aprobatę... ale było już za późno.

Na sali był jeszcze jeden osobnik, obserwujący Luizę z ciekawością. Dopilnował odpowiedniej chwili i zbliżył się do niej.

— Przepraszam panią... mam bardzo ważny interes... ale na osobności.

— Służę panu... proszę tu... do sali bilardowej. Nikogo nie ma.

— Jestem baletmistrzem... Taniec pani zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie, czy nie chciałaby pani jeszcze w tym kierunku się kształcić? Jeśli nie pozwala pani na to stan materialny, uczynię to bezinteresownie... Gdy z małej baletniczki wyrośnie wielka gwiazda – pomówimy o wyrównaniu rachunku... no, zgoda?

Luiza patrzyła rozradowanymi oczami na siwiejącego już jegomościa, a wreszcie wyciągnęła rączkę.

— Pan jest anioł! Zgoda!

— A zatem proszę, mój bilet wizytowy i adres. Zgłosi się pani jutro o piątej wieczór. Tymczasem żegnam.

Od tego dnia Luizę porwał huragan zajęć. Zaniedbywała trochę wykłady, ale co środę doprowadzała młodzież do entuzjazmu.

Tańczyła coraz piękniej. Na wyrzuty Włodka odpowiadała ironicznym śmiechem. Mała Lu stała się bóstwem młodzieży i otrzymywała setki miłosnych listów, ale przyjmując je z uśmiechem, pytała w duszy: *Czemu nie od niego... czemu?...* Chwilami napadały ją ataki rozpaczy tak szalonej, że chciała odebrać sobie życie... a potem znów rzucała się w wir hałaśliwego, rozrzuconego życia. Marzyła, że Berger dowie się od studentów czegokolwiek o słynnej wśród nich *małej Lu* i może przyjdzie...

Tymczasem w pierwszych dniach lutego zebrała się u pana Jarockiego cała rodzina, żądając, by albo oddał Luizę do klasztoru, albo wysłał z Warszawy.

— Przecież to skandal... nasze córki w jej towarzystwie... nasze przyzwoite dziewczęta związane z taką... jawnochrzesznicą!

— Nazwisko Jarocki splugawione, wyciera się między tłumem.

— Aktorka w rodzinie!

Zawezwano Luizę. Stanęła spokojnie w drzwiach pod pręgierzem nienawistnych, pełnych jadu spojrzeń.

— Słuchaj, Luizo — zaczął niepewnym głosem Jarocki — wobec całej rodziny zmuszony jestem oświadczyć ci moje postanowienie: albo rzucisz te wszystkie wykłady, kluby i tańce i zostaniesz uczciwą dziewczyną, albo opuścisz mój dom.

Włodzimierz siedział z twarzą martwą, szarą i nieruchomą. Oczy wpił w Luizę, ale milczał.

— Może udasz się do tego nikczemnika, z którym Ziotka przez ciebie musiała zerwać...
co?

— Ja Ziotce narzeczonego nie odebrałam. Sam zaczął do mnie pisywać... zaczepiać na ulicy... Nie prosiłam go o to. Nie tacy proszą o moje względy.

— Aleś rzucała mu bezczelne spojrzenia... Zapewne! Ziotka, będąc dobrze wychowaną panną, nie da mu tego, co ty...

— Już jeden cię rzucił... zobaczymy, co będzie dalej...

Brwi Włodka drgnęły, ale ani jedno słowo nie padło z zaciśniętych ust.

— Niech się drogie ciotunie nie denerwują... Panna Ziotka jest uczciwa, bo chodzi po ciemnych ulicach z panami podejrzanej wartości, a gdy ja robię to jawnie i trochę lepszy mam gust, jestem nieuczciwa, prawda?

— Milcz... milcz... bezwstydnico... kłamiesz!

— Owszem... mogę o tym zamilczeć. Mogę zamilczeć o wielu rzeczach, które widziałam i słyszałam. To głupstwo. Wobec dziadka postanowienia żegnam was moi drodzy... kochani a nieproszeni opiekunowie... Dam sobie radę... Adieu!

Roześmiała się i wyszła. Jarocki chwycił się za włosy, reszta obecnych podniosła nieopisany hałas.

Lu tymczasem z pomocą szlochającej pokojówki pakowała rzeczy.

— No nie masz czego żałować, Aniu... jeden pokój mniej do sprzątnia.

— Niech panienka lepiej nic nie mówi... Ja odejdę stąd... ja nie chcę...

— Zawołaj dorożkę, wytrzyj oczy i nos... Nie zapomnij o mnie, Aniu!

— Panienko, proszę o adres... panienki.

— Na razie w hotelu... a potem znajdę sobie mieszkanie... Proszę cię przestań płakać... twój kochany nie spojrzysz na ciebie...

— Co mi tam kochany... ja panienkę kocham... O, jest dorożka!

Lulu ucałowała dziewczynę... Za chwilę już jechała w stronę dużego, znanego hotelu. A Włodzimierz, uchyliwszy drżącą dłonią firankę, śledził znikający w dali ulicy pojazd i zgrzytał zębami.

Tego samego wieczoru Lu po lekcji tańca odezwała się głośno.

— Panie dyrektorze. Chciałabym pomówić z panem sam na sam; Czy może mi pan poświęcić chwilę czasu?

— Ależ naturalnie, panno Lu... nawet zaraz. Możecie panienki się rozejść.

Dziewczęta spojrzały po sobie w niemej grozie. W garderobie dopiero wszczęły harmider, jakby ktoś wypuścił na nie zgraję dzikich psów.

A Lu stanęła przed dyrektorem w najładniejszej pozycji i uśmiechając się słodko, rzekła:

— Ja mam taką okropną prośbę do dyrektora. Słowo daję, będę za to grzeczna jak anioł.

— Czego bym ja nie zrobił dla swojej najlepszej uczennicy... słucham.

— Niech mnie pan dyrektor wpakuje do jakiego kabaretu — przysunęła się bliżej i złożyła ręce — nie zrobię kłapy, przecież tańczę nieźle... Dyrektorku najdroższy! Na złość tym wszystkim moim opiekunom i cnotliwym dewotkom. Chcę tańczyć w kabarecie. Niech wiedzą, że jestem ostatecznie upadła dziewczyna i że gwizdzą na nich. Ciocia mówiła, że w kabarecie tylko upadłe takie występują. I jeszcze chcę, żeby mnie ktoś zobaczył.

Stary usadowił Luizę na krześle i wziął ją za ręce.

— Panno Lu... niech pani pomyśli... co za głupstwa wygadujesz o sobie... aż niemiło słuchać.

— Ach, proszę pana. Ja już od dawna straciłam cnotę... przecież całowałam się ze sto razy z chłopakami... Nawet Włodek, ten kuzyn, nie chce na mnie patrzeć. Jestem

jawnogrzesznicą.

— Jak mi Bóg miły, albo ja zidiociałem na starość, albo pani jest nieprzytomna.

Po długiej rozmowie i po kolacji, na którą profesor zaprosił panienkę, rzekł:

— Jest pani głupi dzieciak. Zaiste fenomen dwudziestego wieku. Niech pani nikomu więcej takich bredni o sobie nie opowiada, bo nie wszyscy wiedzą, o co tu właściwie chodzi... nie wszyscy mieli szczęście poznać ciebie tak, jak ja. No! Masz we mnie przyjaciela, smyku. Dobrze! Będziesz w kabarecie... ale... czy cię tam nie przekabacą?... No, wszystko jedno!

A gdy już wychodziła, rzekł niespodziewanie:

— Wiesz co? Ale ten twój Kazik... to drań!

Nazajutrz Lu nie poszła do biura, bo musiała o dwunastej udać się ze swym protektorem do kierownika jednego z większych kabaretów stolicy. Kiedy odbyła próbę, kierownik zatarł ręce, a reżyser baletu odezwał się z uśmiechem:

— Misternie! Dobry nabytek... W porządeczku!

Protektor Luizy odbył jeszcze z kierownikiem i reżyserem długą konferencję, której Luiza nie słyszała... ale na pożegnanie obaj panowie pocałowali ją w rękę.

Uszczęśliwiona pojechała do biura i na powitanie krzyknęła radośnie:

— A ja jestem już w kabarecie... aha!

— Gdzie... co... jak... kiedy! — posypały się pytania.

Opowiedziała całą historię, ale zaraz nazajutrz wezwał ją do siebie szef.

— Panno Luizo! Jestem z pani bardzo zadowolony, ale muszę oznajmić, że tancerek kabaretowych w tak poważnej instytucji trzymać nie możemy, wobec czego...

— Proponuję pani opuszczenie posady — dokończyła.

— Nie! Zerwanie kontraktu z dyrektorem kabaretu. Podwyższę pani pensję o pięćdziesiąt procent.

— Mogę panu ofiarować dziesięć razy tyle, dziękuję za serdeczną i zaszczytną propozycję, ale nie odpowiada mi zupełnie, wobec czego, żegnam pana!

I wyszła spokojnym, pewnym siebie krokiem.

W dwa dni później, przeglądając gazetę, zauważyła dziwne ogłoszenie:

Niniejszym podaję do publicznej wiadomości, że ja, Piotr Jarocki, i moja zamieszkała w Warszawie rodzina nie mamy nic wspólnego z Luizą Jarocką, noszącą to samo nazwisko.

Data i podpis

Roześmiała się i poszła szukać mieszkania, gdyż pobyt w hotelu za drogo ją kosztował.

A gdy wreszcie znalazła się w małym milutkim pokoiku, który od dziś miał być jej samotnym gniazdem, usiadła na kanapce i wtuliwszy twarz w dłonie, łkała głucho i rozpaczliwie...

Oto znów jest sama... sama, sponiewierana... odepchnięta przez tych, których kochała... Za co?... Za to, że kochała i nie umiała cierpieć, za to, że zapomnieć pragnęła o swej bezbrzeżnej tęsknocie?...

— Kazik, gdzieś ty... Kazik!... — jęczała i wyobrażając go sobie przy boku innej kobiety, zerwała się z kanapy i jak szalona krążyła po pokoju... Rozpacz granicząca z obłędem chwytiała dziewczynę za gardło... ale jeszcze teraz nawet bała się, że Kazik nie będzie *dobry* bez niej, że wejdzie w błoto, w które ciągną go koledzy, a od którego broniła go ona, Lulu... Sam przecież mówił nieraz: — Ej, Lulu, gdyby nie ty... siedziałbym w pace za politykę — ona swymi drobnymi rękami trzymała go, nie dając zbyt angażować się w partii, której nienawidziła...

ona błagała, by zamiast iść na zebranie, szedł na wykład... i Kazik słuchał, a teraz...

Co jej tam cały świat, to tylko wszystko dym zasłaniający okropną ranę... co jej tańce... marzyła, że pójdzie z ukochanym przez życie, że nauczy go bronić i szanować jej ideały, że będą razem pracować, że będzie mogła komuś ze swych rojeń się spowiadać... a tu naraz pustka... pustka... nic... ona, Lulu, sama – bez celu żyjąca, bez jutra... sierota... sierota... odarta ze złudzeń, z wiary w ludzi... i ze swej miłości!...

Już od kilku miesięcy Kazimierz żył z czarnooką towarzyszką Ewą. Dobrze znająca życie dziewczyna zawładnęła szybko młodym niezsutym chłopcem i trzymała go mocno przy sobie.

A w szarych godzinach mroku, kiedy na huczące gwarem miasto spływała chwila zamyślenia, młodzieniec uciekał na brzeg Wisły i spoglądał w szare, wolno płynące fale, z których wyzierały złote oczy odbitych światła.

Szare, pachnące wilgocią tumany omotywały go przedzą beznadziejnego smutku. I wtedy z dna duszy wypęzła tęsknota do Luizy... głucha, ponura, żrąca tęsknota.

Ujrzeć choćby z daleka drobną, o tajemniczych oczach twarzyczkę, usłyszeć dźwięczny, piśczętliwie kapryśny głos. Była przecież w Warszawie i mógł ją spotkać co dzień, ale bał się tego właśnie, do czego tęsknił... Gdyby teraz ujrzał tę drogą utraconą dziewczynę, padłby jej do nóg w kornym błaganiu o przebaczenie... zgodziłby się na wszystko... A to przecież zdrada nie tylko partii, ale swego ja... swoich ideałów. I tak wegetował z dnia na dzień, bo życiem nie można było nazwać owego tak jałowo spędzanego czasu... Zaniebawił politechnikę, długie godziny spędzając w konspiracyjnej drukarni, ale nie kładł już w swoje czynności owego młodzieńczego żywiołowego zapału... Wieczory i często noce zajmowały mu zebrania, gdzie pod wpływem namiętnych przemówień budził się w nim dawny zapalony Kazik... ale na krótko... Duszę chłopaka zaległ mrok wątpliwości i na to nie było rady.

W tym samym czasie Luiza robiła furorę w kabarecie. Kapryśny los, który czasem największe talenty trzyma w ukryciu, nie pozwalając im rozwinąć skrzydeł, tym razem postąpił niespodziewanie łaskawie. Kierownik wyczuł w dziewczynie pewną, nieprzeciętną odrębność i oszczędzał jej wszystkiego, co by dotknąć lub poniżyć mogło czystą duszyczkę *wielkiego dziecka*, zwłaszcza, że stary baletmistrz na samym wstępie w owej tajemniczej rozmowie gorąco prosił, by nie odkrywać zbyt brutalnie tajemnic jej życia. Sam zresztą kierownik tak był zdumiony *nieśluchanym okazem*, że nawet poprosił zespół o jak największą dla *nowej* delikatność, nie wyjaśniając zresztą powodów. A sam fakt, że Lulu ma być uprzywilejowana, wywołał zdumienie, a nawet zazdrość. Ale już po tygodniu cały zespół przekonał się do *panienki z protekcją*, która dla wszystkich bez wyjątku koleżanek była słodka, usłużna i zyczliwa. Dla kolegów zaś nijaka. Instynktownie odczuła, że w tym środowisku ze względu na zazdrość kobiecą musi się *trzymać*, by nie zrobić którejś bezwiednie krzywdy. Tryskając humorem i werwą w gronie koleżanek, wobec mężczyzn była sztywna i nieśmiała, najczęściej też unikała ich towarzystwa. Tym też tłumaczyła się jej rzadka wśród pięknej części zespołu popularność, choć nie można powiedzieć, by nie lubili jej i panowie... ale nazywali ją *malutką* i traktowali jak dziecko.

Za to dla publiczności Luiza była zabójcza, kokietując bez miłosierdzia młodych i starych. Po kilku występach zdobyła sobie uznanie nawet prasy... Gwiazda jej sławy zaczęła wschodzić i przybierać wielkie rozmiary... Po każdym występie wywoływano ją kilkanaście razy... galeria ryczała i tupała entuzjastycznie... wzmożła się też frekwencja studentów, którzy dumni ze *swojej Lu* robili jej mimo woli reklamę.

W tym czasie spotkał Luizę dziwny wypadek. Któregoś dnia, wróciwszy z wykładu, przed obiadem zdrzemnęła się trochę na kanapce... i śniło się dziewczynie, że idzie nad jakimś wielkim, czerwono oświetlonym stawem. W pewnej chwili stanęła i wpatrzyła się głębiej i nagle

tam zamigotała twarz Kazika... Nie zastanawiając się wcale, skoczyła, a w tej samej chwili uniosły ją czyjeś ręce i postawiły na środku szerokiej jasnej alei... Naprzeciw siebie ujrzała wysokiego poważnego mężczyznę, który rzekł z uśmiechem:

— I po co robić takie głupstwa?

Obudziła się zdziwiona, rozmyślając nad znaczeniem osobliwego snu. Tegoż dnia na występie podczas tańca rzuciła na widownię kilka róż. Jedna z nich zawisała na ramieniu mężczyzny siedzącego w trzecim rzędzie w towarzystwie dwóch pań... i Lulu, rzuciwszy nań okiem, o mało nie krzyknęła... To był przecież człowiek, którego ujrzała we śnie...

A on uśmiechnął się... i zdjawszy różę z ramienia, oddał jednej z sąsiadek, po czym patrzył dalej na scenę ze spokojną, chłodną twarzą. Lulu do końca wieczoru była zdenerwowana i roztargniona. Na drugi dzień przed południem, idąc na obiad, wstąpiła do księgarni. Właściciel i ekspedientki w setnych ukłonach rozłożyli na stole szereg książek i żurnali. Przeglądała ciekawie, nie zwracając uwagi na otoczenie, gdy tuż obok zabrzmiał poważny, spokojny głos:

— Pani upuściła paczuszkę... proszę!

Podniosła oczy i ze zdumieniem poznała tajemniczego pana ze snu.

Patrzył na nią teraz spokojnie ciemnoniebieskimi oczyma i podawał pakiecik.

Zarumieniła się mocno.

— Dziękuję panu... to moje nowe rękawiczki — szepnęła.

Sklonił się i usunął na bok, nie zwracając uwagi już na nią więcej.

Szybko wybrała kilka żurnali i książkę *Maria Magdalena*. Wychodząc ze sklepu, obejrzała się i wtedy dostrzegła utkwiony w siebie wzrok nieznajomego.

Oczywiście ten zupełnie błahy przypadek na pozór nie odgrywał żadnej roli, bo przecież setki spotkań ma miejsce co dzień i nikt sobie z tego nic nie robi, Lulu jednak była pod wrażeniem tak dalece, że parę dni nie mogła wrócić do równowagi, a już znowu los gotował jej nową niespodziankę.

Berger któregoś wieczoru spacerując wedle zwyczaju nad Wisłą, ujrzał przed sobą w mroku parę czule do siebie przytuloną i całującą się zawzięcie. Chciał przejść niepostrzeżenie, gdy usłyszał i poznał niski zmysłowy głos Ewy. Postąpił krok naprzód i krzyknął:

— Ewo!

Zmieszła się:

— Ach, to ty?... czego chcesz?

— Pytasz? Więc tak wygląda twoja „szalona” miłość?

— A cóż to?... Przysięgałam ci, czy co? Nie wolno mi się zabawić?... zależę od ciebie?...

Idiota! Daj mi święty spokój i nie przeszkadzaj.

— Bydlę! — ryknął chłopak. Splunął i szybko poszedł dalej,

Do późnej nocy chodził niezmordowanie po pokoju. Gloria otaczająca hasło wolnej miłości mocno zbladła. Nad ranem zjawiała się Ewa. Zebrał swoje rzeczy w walizkę, wziął czapkę i wyszedł bez słowa. Pognała za nim:

— Kazik, głupi... o co ci chodzi... o tę jedną głupią noc? Przecież ja ciebie naprawdę kocham... tamto głupstwo... zabawka... wracaj Kazik.

— Nie krzycz na schodach, tu nie karczma. — Odepchnął jej ręce i szybkim krokiem wyszedł na ulicę. Gdy na rogu Krakowskiego Przedmieścia stanął, by poczekać aż przejadą samochody i powozy, w jednym z nich ujrzał Luizę obok jakiegoś poważnego jegomościa. Była bardzo ładnie, a nawet trochę wyzywająco ubrana i dyskretnie podmalowana.

Berger zadrżał... przymknął oczy. Przez głowę przeleciała straszna myśl: — Jest kochanką... więc jednak... jednak! — Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, wsiadł do taksówki i kazał jechać za powozem. Gdy ten stanął, wysiadł i Kazimierz, a stanawszy w pobliższej

bramie, obserwował. Lulu weszła do gmachu, w którym mieścił się kabaret... Wtedy wysunął się z bramy i stanął przed głównym wejściem, po obu stronach którego wisiały szafki z fotografiami. A stąd uśmiechała się subtelnie jego mała Lu w kostiumie nieosłaniającym czaru ślicznego gibkiego ciała, które tyle razy całował. Stała na paluszkach, pochyłona naprzód, trzymając nad głową wielki wachlarz z piór.

Kazimierz zastygł... wbił oczy w dobrze znaną sylwetkę, ale wzrokiem ogarniał minioną bezpowrotnie przeszłość. Nie ma już Luizy. Nie ma słodkiej, niewinnej dziewczynki... bezgrzesznej czarodziejki, którą ubóstwiał... jest Lu... przechodząca pewno z rąk do rąk...

Zrobiło mu się ciemno w oczach. Byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go jakiś przechodzień,

— Panu niedobrze, może zawezwać dorożkę?

— Dziękuję... głupstwo... nie spałem w nocy. To chwilowe.

Pojechał do hotelu, do tego samego, gdzie tyle dni spędził z Luizą... A wieczorem ubrał się starannie i poszedł do kabaretu, mimo że tego rodzaju przedstawień nie lubił. Nie zwracał też teraz uwagi na kuplety ni na kawały, nie interesowała go znakomita farsa. Czekał na Luizę. Wreszcie wbiegła na scenę, otulona po szyję wielkim pąsowym szalem i zastygła w ruchu rozpościerającego skrzydła motyla.

Powitały ją brawa i okrzyki. Na scenę upadło parę wiązanek... Lulu tańczyła leciuteńko, rysując w powietrzu arabeski giętką figurą. Czerwony szal otaczał ją luną, na której tle odcinała się wyraźnie sylwetka obciśnięta szczelnie czarną gazą.

Berger nie wierzył własnym oczom... Skąd się u niej to wzięło... co się z nią stało?

Po tym numerze solowym Lulu brała udział w zespole. Tu była niemal naga, ale tańczyła jak sen.

W ostatnim rzędzie krzesel siedział Włodzimierz.

Podczas większego antraktu przed garderobą Luizy zebrało się kilkunastu panów, pragnących osobiście złożyć hołdy młodej gwiazdeczce. Między nich wplątał się Włodzimierz. Ten przyszedł tu dręczony wyrzutami sumienia. Nie widział jej przecież od dnia awantury u dziadka, nie miał pojęcia, gdzie mieszka i co robi. Dopiero gdy przeczytał w gazecie recenzje o młodej tancerce, domyślił się wszystkiego i po pewnym wahaniu pokonał dumę i przyszedł uczynić pierwszy krok do pojednania. Patrząc na mur fraków i smokingów, doznawał wrażenia, jakby go ktoś policzkował. Przeszywał krążących wokół mężczyzn niespokojnym, pytająco złym wzrokiem. Który z nich jest wyróżniany... który szczycić się może specjalnymi względami tancerki. Niespodziewanie szczęknęły drzwi garderoby i na progu stanęła Lulu uśmiechnięta, elegancka... pewna siebie.

— Przepraszam bardzo, ale teraz nie przyjmę nikogo, muszę się przygotować do końcowego numeru i towarzystwo garderobianej na razie odpowiada mi najbardziej.

— Ależ Lulu... boska Lu... chwileczkę... daj ucałować rączki... Mam coś do powiedzenia na uszko... Proszę o jeden uśmiech specjalnie dla mnie... Lulu... czekoladki! — zagłuszył jej słowa wesoły gwar.

— Ślicznie... ale to wszystko na później. Uśmiechem musicie się podzielić, zresztą moje koleżanki ofiarować mogą więcej niż ja sama jedna... Za to buziaka otrzyma każdy... platonicznie. — Przycisnęła ręce do ust i wyciągnęła je przed siebie, strzepując paluszkami, i drzwi zatrzasnęły się gwałtownie.

Dzwonek! Panowie wrócili na widownię. Pozostał tylko Włodzimierz. Zapukał delikatnie... raz... drugi... trzeci... wreszcie w drzwiach stanęła garderobiana.

— Panienska nie przyjmuje nikogo, jest zmęczona.

— Ale ja muszę zobaczyć się z panną Luizą, mam ważny interes.

W tej chwili zza pleców kobiety wyrzała główka Lulu.

— To ty?... to pan?... Proszę... czym mogę służyć?

Wszedł onieśmielony i na razie nie wiedział po prostu, co powiedzieć. Luiza zupełnie spokojna wskazała mu krzesło.

— Niech pan usiądzie... proszę bardzo... ja mam naprawdę bardzo mało czasu.

— Chciałbym z tobą pomówić bez świadków.

— Nie, nie mam przed nikim żadnych tajemnic... niech Antosia zostanie... Pan daruje, ale wejdę za parawan, muszę się ubrać... Antosiu... kostium.

Był tak zbity z tropu i oszołomiony, że dopiero po długiej chwili rzekł stłumionym głosem:

— Luizo... dość tych awantur i skandali. Rzuć wszystko i wracaj do normalnego życia. Zapomnę o przeszłości. Zostań moją żoną, dam ci spokój, dobrobyt i szacunek, bo bądź co bądź wiem, żeś szlachetna. Kocham cię Lulu... Ty nie wiesz, jak cierpię, wiedząc w jakim otoczeniu się znajdujesz. Zostaniesz znów maleńką jasną Lulu.

Patrzył na ciemnorudą główkę wykwitającą nad parawanikiem i czekał odpowiedzi z zapartym oddechem. Zapanowało długie milczenie, wreszcie Luiza stanęła przed nim otulona w pyszny szafirowy aksamitny płaszcz.

— Jaka szkoda, że pan nie mówił tak ślicznie wtedy u dziadka, gdy byłam sama wobec wszystkich wrogów. Jaka szkoda, że wtedy nie ofiarował mi pan dobrobytu i szacunku, a moja *bądź co bądź* szlachetność dopiero teraz zauważył. Ale właśnie teraz ja za to wszystko dziękuję. Jest mi dobrze. Wszyscy mnie lubią, mam ładne sukienki, ba, mogę nawet jeździć powozem dyrektora... Nie, panie Włodku, żoną pana nie zostanę, ofiarowuję natomiast przyjaźń, wiem przecież, co panu zawdzięczam... O... proszę się nie przejmować, doprawdy nie warto. Tak długo dawałam sobie radę... może i teraz...

Bielski wstał. Słowa Luizy smagały go boleśnie, tym boleśniej, że odczuwał w nich ironię i żal. Był winien. Miał świadomość swej winy. Pocałował ją w rękę i rzekł bezdzwięcznym głosem:

— Przebac mi Lulu...

Uśmiechnęła się i musnęła ręką jego pochyloną głowę. Wyszedł zmieniony, blady i poważny... Nagle zachnął się. Twarz spłonęła przelotnym rumieńcem. Naprzeciw ujrzał Bergera. Instynktownie zasłonił sobą drzwi od garderoby Luizy.

— Proszę się usunąć — ryknął Kazimierz.

— Pan tam nie wejdzie!

— Ach, więc pan jest nadal troskliwym opiekunem Luizy. Zaiste sposób usunięcia rywala był uniwersalny, więc po to mi ją odebrałeś, by wycierać czystą dziewczyną kulisy kabaretów... faryzeuszu... kłamco!

— Nie mam zwyczaju tłumaczyć się niedowarzoną młokosom. Powtarzam tylko, że nie ma tu dla pana miejsca.

Berger skoczył z podniesioną pięścią. Włodzimierz zatrzymał ją w powietrzu, w tej samej chwili został gwałtownie uderzony w plecy otwierającymi się drzwiami. Na progu stanęła Lulu blada jak opłatek. Obydwaj mężczyźni opuścili ręce. Zapanowała cisza. Z bocznego korytarzyka i garderoby baletnic wyglądały zaciekawione oczy.

— Proszę tu nie urządzać widowiska — rzekła wreszcie Lulu, skupiwszy całą swą wolę dla zachowania spokoju.

— Lulu... muszę z tobą pomówić — rzekł Kazimierz błagalnie. Cofnęła się w głąb pokoju. Wszedł szybko... za nim i Bielski wiedziony jakimś wewnętrznym nakazem. Z chwilą gdy ujrzał Bergera, zrodziło się w nim niejasne przecucie, że Luizie zagraża niebezpieczeństwo.

Ona zaś na widok człowieka, przez którego tak strasznie cierpiała, który zostawił ją samą w otoczeniu wrogów na łup szyderstw i rozpaczy, nie krzyknęła... nawet nie okazała żadnym ruchem wzruszenia... stała spokojna, tylko bardzo blada.

Berger zaś obiecywał sobie wybuchnąć gromami i zasypać ją gradem wyrzutów... Teraz wszystko mu znikło sprzed oczu, zapomniał, że Lulu jest aktorką szafującą czarem swego ciała i uśmiechu... Teraz widział tylko okrągłą główkę i bladą twarzyczkę swej dawnej miłowanej bezpamiętnie dziewczynki.

— Lulu moja... co z tobą... jak możesz... Lulu! — Chwycił w żelazny uścisk jej rękę. — Czemu odeszłaś ode mnie... chodź ze mną... wróć... Będziemy szczęśliwi...

Nie spuszczała z niego roztęsknionych oczu, pragnąc zajrzeć w głąb duszy, wyczytać prawdę... I w miarę jak patrzyła, czuła gdzieś z samego dna, z najtajniejszego zakątka serca płynący chłód. Błyskawicznie jeły gasić jedna drugą myśli... więc przyszedł ten jedyny, najdroższy... utęskniony, a ona zamiast rzucić mu się w ramiona, stoi bez ruchu... Więc zwyciężyła i nie płacze z radości, nie krzyczy o swym tryumfie... nie obejmuje spragnionymi ramionami ukochanej głowy?... Co to?... co to?...

W piersi Luizy zadrgały setki zdziwionych głosów: Co to?... co to?... Czemu?

Przed rozszerzonymi oczyma wirowały setki kół, na tle tego wiru zabłysła para chłodnych, obojętnych źrenic nieznanego.

— Luizo... czemu milczysz... Tak tęskniłem! Zgodzę się na wszystko, czego zapragniesz, weźmiemy ślub... Powiedz... wszak jesteś jeszcze moją... wszak jeszcze nikt — rozpacz trawiła mu słowa i szeptem kończył: — zostaniesz moją żoną, prawda?... moją jedyną i nikt do ciebie nie będzie miał prawa, tylko ja... ukochana moja... Lulu!

Uklęknął przed nią i przytulił głowę do smukłych nóg. A wtem usłyszał dziwnie chłodny głos, któremu i Lulu sama przysłuchiwała się tak, jakby szedł gdzieś z dala... a przecież to ona mówiła... ona, Luiza!

— Nie, Kaziku... między nami wszystko skończone... Przeżyłam w najstraszniejszej tęsknocie tyle, tyle czasu... czekałam cię, myślałam, że przyjdiesz... że będę ci droższa, od tych, co zatruli twą duszę... A ty, coś robił przez ten czas?... Namyslałeś się... tak długo... tak bardzo długo!... Nie chciałeś nawet mnie zobaczyć, bałeś się! I dopiero, gdy przypadek, bo czuję, że tylko przypadek postawił mnie na twojej drodze, gdy ujrzałeś mnie piękną i niby szczęśliwą, zdecydowałeś się na krok stanowczy, tak samo zresztą, jak mój kuzyn, ale teraz ja się was boję... ja wam już nie ufam! Prawdziwa miłość o nic nie pyta i zawsze pójdzie tam, gdzie dobro i piękno... gdzie ból... Odejdźcie, i zostawcie mnie memu losowi. Potrafię ułożyć sobie życie tak, jak mi się będzie podobało, bez rzuconych ochłapów łaski. Nikt mnie tu nie krzywdzi. Wszyscy są dla mnie dobrzy i delikatni, nawet koleżanki, choć to tylko, jak świat mówi, *aktoreczki*. Doznałam od nich wiele serdeczności i przyjaźni, po co mam wracać tam... do was. Dajcie mi już spokój. To, co odeszło w grób czasu, niech śpi.

Zamilkła i patrzyła na Bergera spokojnie. Coś tam we wnętrzu, w splocie nerwów przepojonych miłością, pękło i cichły jedna po drugiej struny uczuć.

Zamilkło i rozkołysane serce – zapanował w niej chłodny spokój.

Zza parawaniku doleciało chlupanie Antosi. Kazimierz utkwiał przerażony wzrok w jasnej twarzy Luizy... wyciągnął błagalnie rękę:

— Lulu, miej litość... Lulu! — jęknął.

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie mów do mnie... odejdz... Już skończone wszystko. — A echem tych słów był jakiś głuchy z wnętrza... od serca idący jęk, który wstrząsnął ciałem Luizy, jak dreszcz...

W tej chwili ktoś zapukał i w drzwiach ukazała się głowa chłopaka.

— Panna Lulu na scenę.

Antosia zdjęła z niej płaszcz i dziewczyna stanęła przed lustrem, nakładając na głowę kolorowy diadem... Przypudrowała jeszcze szyję i ramiona... pociągnęła pomadką wargi. Nagie ciało otulała tylko pajęczą seledynową materią haftowaną w lśniące gwiazdy... Wyszła wreszcie z pokoju bez słowa.

Berger patrzył przed siebie tępym, przyćmionym wzrokiem... opuścił ręce, przygarbił się i trwał bez ruchu... Włodzimierz po chwili wahania podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

— Obaj byliśmy podli... obaj winni... Nie ma tu dla nas miejsca... Jej na razie w tym świecie lepiej, ale wiem... czuję... że Lulu znajdzie kiedyś godnego siebie człowieka... Żegnam pana.

Wyszedł, a za nim i Kazimierz.

W drzwiach nadepnął na coś... Machinalnie podniósł z ziemi czarny jedwabny pompon, który widać Lulu, rozbierając się, zgubiła. Włożył go do kieszeni i chwiejąc głową w takt powolnych ciężkich kroków, wrócił na salę.

Zaś na scenie w różnokolorowym kręgu tancerek stała Lu – wybrana odaliska⁽⁴⁾... Gnąc się przed swym władcą w rozkoszne linie ukazywała całą klasę młodego ciała, aż zakochany porywa ją na ręce, tuląc namiętnie do piersi. Gdy ci dwoje czarowali publiczność prześlicznym duetem, Berger po omacku szedł ku wyjściu, ściskając konwulsyjnie czarny pomponik. Nie miał siły patrzeć.

Od tego dnia rzucił się w wir partyjnej pracy z jakąś gorączkową, szaloną zaciekleścią... zdumiewając swych kolegów... On rozsyłał bibułę, on redagował agitacyjne ulotki... wygłaszał odczyty... brał nawet udział w zebraniach komitetu, który za pieniądze Berlina i Moskwy sączył jad w młode umysły.

Z dnia na dzień robota przybierała bardziej gorączkowe tętno, zwłaszcza że policja, zaniepokojona propagandą, śledziła pilnie i wyłapywała wątlutkie niteczki przypuszczeń i podejrzeń ze zdwojoną energią.

W ciemną marcową siekącą drobnym, przenikliwym deszczem noc, w domku na Pradze zebrał się komitet i paru kurierów. Przyszedł właśnie nowy transport bibuły⁽⁵⁾ i pieniędzy. Trzeba było rozdać, przeliczyć... porozsyłać do różnych grup. Dom piętrowy pogrążony w falach mroku, nad wodą stojący, był od dawna pewną i bezpieczną kryjówką. W pokoiku, oświetlonym lichą naftową lampką, na pierwszym piętrze wokół stołu siedziało dziesięciu młodych ludzi, między nimi i Berger.

Nagle przez okno padł strzał. Brzęknęła rozbita szyba i lampa. Do pogrążonego w mroku pokoju weszło kilkunastu uzbrojonych policjantów z elektrycznymi lampkami. Komuniści, oszołomieni i przerażeni niespodziewanym napadem, nie bronili się wcale.

Berger, nieprzytomny ze strachu, chwycił się rozpaczliwie niebezpiecznego środka ratunku. Jednym susem skoczył na okno i rzucił się w dół. Pierwsze piętro nie przedstawiało zbytniego niebezpieczeństwa, ale dom był obstawiony. Berger, mimo bólu, zerwał się z ziemi i przebiegłszy kilka kroków, plusnął w wodę. Goniący go policjanci stanęli na brzegu niezdecydowani. Padło jeszcze parę strzałów i wrócili na miejsca. A uciekinier płynął niezamordowany z biegiem rzeki. Wreszcie siły zaczęły go opuszczać. Zimno, przejmujące każdą żyłkę, każdy nerw, zajrzało mu w oczy grozą śmierci. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, dotarł do brzegu. Z daleka mrugała setnymi oczami latarni Warszawa... tu naokoło było pusto i ciemno.

W skołatanej, rozgorączkowanej głowie chłopaka nieprzerwanie dzwoniło:

— Co robić... co teraz robić...

Biegał chwilkę w kółko jak wariat, wreszcie puścił się klusem w stronę widniejącego na wodzie ciemnego kształtu.

To przystań. Z bliska już dojrzał parę nieruchomych i jakby martwych statków, ale na jednym zamigotało światło i dobiegł gwar rozmowy. Kazimierz ostrożnie pogrążył się w fale i płynął w kierunku owego statku.

Naprężone mięśnie i nerwy przeszywało pragnienie uratowania się.

Coraz mocniej zaciskał zęby... jeszcze parę ruchów i zajrzał przez okienko do kajuty... Kręciło się tu paru chłopców, sprzątajac wnętrza.

Na brzegu tymczasem zaskrzypiała przeraźliwie duża, podnoszona w górę latarnia, oświetlająca przystań nocą.

Powoli, ostatnim wysiłkiem, Berger wdrapał się na pokład i przyczołgał do drzwi kajuty. Buchnęło z głębi gorąco. Widocznie pasażerski statek niedawno przyszedł. Pierwsza kajuta zupełnie pusta, była już sprzątnięta. Tłumiąc oddech w piersi, błyskawicznie wsunął się pod ławkę, ze zgrozą myśląc o przemoczonym ubraniu. A jeśli chłopcy zauważą strugę wody?... Zamarł w bezruchu... W głowie waliło mu sto młotów. Przez kajutę przeszli chłopcy. Jeden zgasił światło. Trzask zamykanych drzwi. Cisza!

Wypełznął wtedy z ukrycia. Szybko zrzucił ociekające wodą ubranie. Wstrząsający nim wewnętrzny dygot był coraz gwałtowniejszy. Przez małe okienka kajuty wpadała leciutka smuga światła z latarni. Przy tym mizernym świetle Berger krążył po wszystkich kątach, szukając czegoś do przykrycia się. Wreszcie w kabine maszynisty znalazł duży, gruby płaszcz. Przyniósł tu swoje ubranie i bieliznę, wycisnął i porozkładał starannie. Sam wrócił do kajuty pierwszej klasy i owinąwszy się w ów płaszcz, wyciągnął się na ławce.

Teraz dopiero poczuł zmęczenie. Napięte tak długo nerwy nie wytrzymały. Po znękanej twarzy zaczęły gonić się łzy. Okropne, przygnębiające, męskie łzy.

Zaiste wielkiej trzeba niedoli, by je wywołać. A Kazik płakał długo. Przypomniawszy sobie rodziców, którzy niczego nie odmawiali ukochanemu jedynakowi... potem Luizę... ach, Lulu. Wreszcie wstał i zaczął szybko chodzić po niewielkiej przestrzeni.

Bał się zasnąć; skoro tylko wyschnie mu ubranie, musi uciekać.

Ponieważ w kajucie maszynisty było bardzo gorąco, nie czekał długo. Skoro tylko świt na czarną powierzchnię wody rzucił jaśniejsze tony, mógł się już ubrać, ale nie uczynił tego. Zrzuciwszy płaszcz, opuścił się do wody, trzymając mocno w kłębek zwinięte ubranie i buty nad głową. Odpłynął duży kawał, a wydostawszy się na brzeg, wpadł między krzaki i szybko wdziewał ubranie. Bielizna była sucha, ubranie jeszcze trochę wilgotne... Ale buty ledwo wciągnął. Szybkim krokiem szedł najbardziej pustymi uliczkami do mostu. Zauważywszy auto, skinął ręką i udając pijanego, kazał się wieźć do hotelu... Znalazłszy się w swoim pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Zadzwoił na służącego i kazał sobie przynieść porządne gorące śniadanie i butelkę wina. Pił herbatę i wino, myśląc tylko o tym, że musi się rozgrzać, wypocząć... że nie wolno mu chorować ani jednego dnia, bo przecież czeka nań droga długa, oddalająca wszystkie przeżycia i niebezpieczeństwa na zbawienny dla niego dystans.

Spał mocnym, kamiennym snem cały dzień. Przed wieczorem zebrał rzeczy, uregulował rachunek i wyjechał nocnym pociągami do Gdańska.

⁽¹⁾ Salome – Tu: Salome III (I w.), wnuczka Heroda Wielkiego. Znana głównie z roli, jaką odegrała przy śmierci Jana Chrzciciela – zachwycony jej tańcem Herod Antypas, tetrarcha Galilei, obiecał spełnić każde jej życzenie, a ta – na polecenie matki – zażądała głowy żydowskiego proroka. Motyw Salome pojawia się często w sztuce jako biblijny motyw odnoszący się do krwawego erotyzmu i mrocznej zmysłowości.

- (2) pas (fr. *pas* = krok) – tu: krok w tańcu.
- (3) obiata – ofiara składana bogom u dawnych Słowian; żertwa; trzeba.
- (4) odaliska – w dawnej Turcji europejska niewolnica w haremie sułtańskim.
- (5) bibuła – tu: nielegalna prasa.

ROZDZIAŁ VI

Dwór w Żarnowcach słynął na całą okolicę nie tylko z bogactwa i porządku.

Właściciel był bardzo popularną osobą ze względu na swą rzadką sumienność i prawość charakteru, a także na fanatyczne wprost ukochanie ziemi.

Pani Żarnowska była duszą ziemiańskich stowarzyszeń kobiecych i pracowała od rana do zmroku

Wysoka, tęga, jeszcze i teraz, mimo pięćdziesiątki, bardzo przystojna, od rana wzuwała wysokie buty i kożuszek zimą, a szary fartuch latem, i z fajeczką w ustach, kręciła się wśród obór, chlewów i kurników, komenderując zgranym zespołem służby.

On zaś jechał w pole.

Trzymali oboje mocno w rękach ogromny czterdziestowlókowy majątek i po obywatelsku wychowywali pięcioro dzieci. Trzech synów i dwie córki.

Najstarszy z chłopców, Tadeusz, w tym roku skończył agronomię i dzielnie ojcu pomagał. Z córek jedna była nauczycielką, druga aptekarką. Dwaj synowie byli oficerami.

Wychowani przy ciepłym blasku domowego ogniska, chłopcy różnili się znacznie od innej młodzieży, szczególnie Tadeusz, mimo dopiero dwudziestu siedmiu lat, był już człowiekiem w całym dodatnim znaczeniu tego słowa.

Nie znaczy to jednak, by stronił od zabaw i towarzystwa, by nie uniósł go czasem temperament, ale miał ideały... miał zdecydowane zdrowe poglądy. Szanował kobiety i wstręt czuł do pokazujących kolana wymalowanych panien.

Do teatru i teatrzyków chodził często, nie dawał się jednak porwać ogólnemu nastrojowi uwielbiania aktorek. Owszem, lubił jedne bardziej, drugie mniej, znając bowiem życie, wiedział, co się dzieje za kulisami.

A przecież zrobiła na nim silniejsze wrażenie pewna mała aktoreczka. Sam się sobie dziwił, że podobała mu się aż tak dalece, że o niej myślał.

A przecież była to słynna, dobrze znana młodzieży *mała Lu*, więc oczywiste nie warta pewno wspomnienia. Dlaczego więc tak dokładnie przypomina sobie zalaną rumieńcem subtelną twarzyczkę o przesmutnych, szarozielonych oczach.

To moje nowe rękawiczki – tylko tyle... ale tak, jakby to była brylantowa kolia... – *To moje nowe rękawiczki*. – Czy istotnie ten sprawunek przedstawia dla diwy wartość? – Nasuwają się błahy na pozór uwagi, których okryta treść cieniutką niteczką wysnuwa się z serca.

Wiedziony ciekawością, bo jak nazwać to zainteresowanie się osobą, należącą do środowiska, którego nie lubił, poszedł znów na przedstawienie.

A był to początek kwietnia... Zieleniła się już w alejach drobna koroneczka młodych liści. Po ulicach wykwitły w koszykach pęki fiołków i sasanek, licho odziane dzieciaki zaczęły przechodniów, kusząc wonnymi bukietkami. Rzadko kto przeszedł obojętnie, pierwsze uśmiechy wiosny kusily, narzucały się prosząco. W szumie ciepłych deszczowych kropli, w tumanach zachodu, w wilgotnych dusznych oddechach nocy słyhać było przyśpieszone tętno serca spragnionego miłości. Ziemia wyciągała drżące ramiona w przestrzeń czasu, skąd szedł kochanek.

A Luiza przeżywała kryzys. Niekiedy przed wieczorem, gdy biegła do teatru, widziała przytulone do siebie rozmarzone pary i wówczas tak strasznie brak jej było Kazika, że z żalu i tęsknoty zaciskała ręce, aż paznokcie wpijały się w ciało i gryzła wargi do krwi. Dopiero w swojej garderobie odzyskiwała humor i dzwoniła srebrnym beztroskim niby śmiechem.

I właśnie ta męka tęsknoty zaczęła przepalać uczucie do Bergera... tak, że chwilami myślała o nim zupełnie swobodnie.

W teatrzyku teraz odbywały się gorączkowe próby wielkiej rewii *Wiosna idzie*. W balecie główną rolę miała Lu.

Długie godziny lekcji z baletmistrem nie męczyły młodej artystki, raczej podniecały pragnienie zdobycia sławy. Jej taniec solowy był własnego pomysłu, reżyser tylko wygładził go i wykończył misternie.

Gorzej było z kostiumem. Luiza nie mogła sobie jeszcze pozwolić na toalety z pierwszorzędnymi firmami. Kombinowała sobie stroje sama i ubierała się u skromnej krawcowej. Zaś teraz, gdy musiała jako primabalerina wystąpić okazale, porządnie łamała sobie głowę, by kostium Wiosny mówił sam za siebie. Ostatecznie, po przejrzeniu szeregu ilustracji, fotografii itp., wymozoliła pomysł, którego wykonanie powierzyła swojej krawcowej, przesiadując u niej wszystkie wolne chwile. Zaniedbała teraz nawet uniwersytet, gdzie w ostatnich czasach koleżanki bardzo wrogo się do niej odnosiły i nierzadko obito się o uszy Lulu: *aktorzyca... kokota... bezwstydna... tam za mało ma kochanków...* W głowach nie mogło się tym czystym i szlachetnym dziewczynom pomieścić, że aktorka może pragnąć wiedzy.

One, których lwia część przez stopnie ołtarza wiedzy pragnęła się dostać przed ołtarz kościoła, potępiała rywalkę, która nawet nie myślała o tym, o co ją posądzały.

Uczyła się, bo miała zdolności i kochała naukę odkrywającą jej wielkie nieznanne światy, do których tęskniła. I ta dziwna tęsknota do czegoś wyższego ponad codzienne troski i radości była motorem jej życia... Chodząc na wykłady, całą duszą słuchała słów profesora i to było jej jedyną pociechą.

Lulu nie potrafiła żyć bez celu, musiała znaleźć jakiś punkt zaczepienia i nauka częściowo spełniała to zadanie – i na tej kanwie snuła znów marzenia trochę naiwne, ale prawie i wzniosłe. Taniec zaś był wyładowaniem temperamentu dziewczyny, był krzykiem miłosnej tęsknoty i szumem rozbudzonych młodych zmysłów w Lulu, musiała tańczyć, bo nie rozumiała procesu, jaki zachodził w czystej dziewczęcej duszy, nie umiała znaleźć rady ni zaspokoić pragnienia, co w niej się jarzyło... A taniec właśnie był dla biednego dziecka ukojeniem i harmonijnym, estetycznym uzewnętrznieniem wszystkich nurtujących duszę prądów.

Nadszedł dzień premiery. Na dwie godziny przed przedstawieniem bilety zostały rozprzedane. Sprawiała to umiejętna a silniejsza niż zwykle reklama, a także imię *najmłodszej z gwiazd!* – Lulu Jarockiej. Publiczność była bardzo ciekawa, chciała zobaczyć swą ulubienicę jako primadonnę. Żarnowski przybył z bratem Ryszardem, oficerem garnizonu warszawskiego. Przed samym początkiem na sali pojawiły się młode aktorki, roznosząc kwiaty. Ryszard kupił trzy pęki fiołków.

Gdy wreszcie cichuteńko rozsypały się tony słodkiej melodii i podniesiono kurtynę, rozpoczęła się czarowna wizja jak z tysiąca i jednej nocy. Zaś kiedy na scenę wbiegła Lulu w obłokach gazy, z rękoma pełnymi kwiatów, oklaski zahuczały długim przeciągłym grzmotem (było to właśnie nader wiosennie). A ona istotnie zasłużyła na owację. Trudno sobie wymarzyć coś lżejszego, piękniejszego nad jej taniec. Zdawało się, że gra w dziewczynie każda kropelka krwi. Każda żyłka! Ryszard raz po raz trącał brata:

— Bajkowa, cudna... słodka...

A Lulu dostrzegła swego *nieznajomego* i wbrew woli uśmiechnęła się doń.

Kurtyna spadła. Huk! Krzyk. Brawa. Deszcz kwiatów.

— Lulu!... Lulu!...

Wysunęła się zza kotary uśmiechnięta dziecinnym radosnym śmiechem (miała ochotę teraz skakać), prześlicznym ruchem zasłaniała głowę od padających wciąż kwiatków. Tadeusz wyrwał bratu z ręki ostatni bukiet i podniósłszy się z miejsca rzucił go dziewczynie pod nogi. Podziękowała uśmiechem. A potem, już za kulisami, pełne naręcze rzuciła koleżankom, zachowując sobie jeden jedyny bukiet od *nieznajomego*. Nazajutrz wszystkie dzienniki opisały rewię i primadonnę w słowach pełnych zachwyty. Lulu zaś, wyciąwszy z dziesięć recenzji, włożyła je do koperty i wysłała „kochanej cioci” do miasteczka.

Wieczorem, przez dziurkę w kurtynie śledząc publiczność, zauważyła *nieznajomego* i przez wdzięczność uśmiechała się podczas tańca najładniejszym ze swych uśmiechów w stronę poważnej, rozumnej twarzy pana. Nie zauważyła natomiast ani dziadka, który miał łzy w oczach, ani Włodka, siedzących gdzieś przy końcu sali. Nie zwróciła też uwagi na tłum studentów oblegających tańsze miejsca. Mając teraz więcej czasu, gdyż rewia zapowiadała się na czas dłuższy, Lulu znów zaczęła chodzić na wykłady. Okazało się jednak, że zawód jej jest wielką przeszkodą. Koleżanki zupełnie jawnie okazywały jej lekceważenie i pogardę, koledzy mężczyli nieznośnie holdami.

Któregoś dnia zdawało się Lulu, że w kancelarii mignęła twarz *nieznajomego*, potem wytłumaczyła sobie: *musiało mi się zdawać*, a wcale nie przypuszczała, w jakich przykrych okolicznościach go pozna. W tydzień po premierze otrzymała list następujący:

Zarząd Koła Moralnej Opieki nad Młodymi Dziewczętami przy Bratniej Pomocy Uniwersytetu wzywa pannę Luizę Jarocką na zebranie, mające się odbyć dziś o 12-iej w południe w sali wykładowej nr 3.

Następowały podpisy, data itd...

— Oho... jak tylko „moralnością” pachnie, to już pewna przykrość — przemknęło przez myśl dziewczynie. Mimo to poszła.

A Tadeusz Żarnowski, będąc znanym i szanowanym prezesem jednej z korporacji⁽¹⁾, otrzymał podobne wezwanie. Bawił teraz już dłuższy czas w Warszawie, studiując pilnie w bibliotece jakieś rolnicze dzieło i dość żywy udział brał w życiu akademickiej młodzieży. Otrzymałe wezwanie zdziwiło go trochę, ale postanowił stawić się, zwłaszcza, że i koledzy jego, prezesi innych korporacji, członkowie zarządu Bratniaka tak samo zostali wezwani.

Przyszedł punkt dwunasta, otoczyli go koledzy, żaden z nich nie miał pojęcia, czego te „moralistki” właściwie chcą.

Parę minut po dwunastej na progu sali stanęła Lulu. Żarnowski drgnął i całym ciałem pochylił się naprzód, patrząc na stojącą w drzwiach zmieszaną dziewczynę... i ona doznała silnego wrażenia, lecz Tadeusza jej obecność wprowadziła w niesłychane zdumienie. Nie bywając na wykładach, nie miał pojęcia, że Luiza jest studentką. Tymczasem rozległ się głos dzwonka i jakaś starsza panna o niesympatycznej i złośliwej twarzy zaczęła:

— Koleżanki i koledzy! Zebraliśmy się dziś tutaj, by powziąć ważną decyzję. Jako prezeska towarzystwa opieki nad moralnością dziewcząt wraz z zarządem starałam się wysondować opinię publiczną w sprawie pobytu na wyższej uczelni panny Jarockiej, baletnicy kabaretowej. Dziękując przedstawicielom stowarzyszeń za obecność, rozpoczynam sprawę pytaniem:

Jakim prawem między młodzieżą, której przyświecają wyższe cele i ideały, wdarła się osoba podejrzanego prowadzenia, zajmująca takie stanowisko w społeczeństwie, że w uczciwych

domach podobnych pań nie przyjmują, osoba, która pod pretekstem nauki uwodzi zaślepioną młodzież i szuka męża tutaj, wśród naiwnych. Jakim prawem zmusza nas, uczciwie pracujące kobiety do obcowania z sobą. Aktorka kabaretowa w gronie dziewcząt pragnących w społeczeństwie szerzyć czystość, szlachetność i umiłowanie pracy! Koleżanki i koledzy! To dla nas ujma. Więcej... to hańba. I dlatego zarząd opieki nad moralnością domaga się uchwalenia następującej rezolucji:

Młodzież uniwersytecka zakazuje pannie Jarockiej, baletnicy i aktorce, uczęszczać dalej na naszą uczelnię, gdzie do tej pory siała tylko brud i zepsucie. Jeśli nie zgodzi się dobrowolnie, sprawa zostanie przekazana senatowi.

— Brawa!... brawo... precz z aktorką... precz z kokotą — rozległy się wrzaskliwe głosy zebranych kobiet.

Luiza stała bez kropli krwi w twarzy. Ścisnęła konwulsyjnie ręce i rozglądając się dokoła rozpaczliwym wzrokiem, szukała obrońcy. Studenci jednak, których była wobec większości kobiet znikoma liczba, pospuszczali głowy, milcząc dyplomatycznie.

— Wobec tego, że wszyscy są jednego zdania... wszak prawda?...

— Tak... tak... tak...

— Prosimy pannę Jarocką o opuszczenie murów wyższej uczelni, nie nadającej się do działalności pani, na zawsze — zakończyła prezeska.

W tej samej chwili z końca sali zabrzmiał poważny, drżący oburzeniem głos męski:

— Proszę panią zostać... jeszcze chwilę. Zapytam teraz w jej imieniu prześwietny zarząd, jakim prawem wdziera się w tajniki życia prywatnego koleżanki, o której nie wie nic konkretnego...

W tej chwili podniósł się głośny szmer wśród kobiet, Tadeusz zaś ciągnął dalej:

— To nie jest sąd... to jest podłość... to właśnie brud! Jak śmiecie rzucać obelgi w twarz kobiecie, która nie jest z pewnością gorszą od żadnej z was. Potępiacie jej zawód... zawód piękny i przez nią ukochany. Zazdrość przez usta wasze przemawia, moje piękne panie... zazdrość i pragnienie pozbycia się rywalki, przewyższającej was może inteligencją, a co gorsze urodą. Tego jej nie możecie darować. Nie znam panny Jarockiej, ale jeśli przy swym wyczerpującym zawodzie, pragnie jeszcze zdobywać wiedzę – wara wam od niej. Nie wolno tego zabraniać. Jeśli była nietaktowna, to w inny sposób można było wytłumaczyć niewłaściwość postępowania. Dzisiejsze zebranie uważam za niktzemny akt gwałtu na bezbronnej koleżance i dlatego w imieniu kolegów przepraszam panią za to, co ją tu dziś spotkało.

Luiza oczy pełne łez utkwiała w postaci Żarnowskiego, a on podszedł do niej i podając ramię, rzekł grzecznie:

— Służę pani!

— Zamknęły się za nimi drzwi. Wtedy dopiero studentki podniosły histeryczny gwałt, ale nie obchodziło to już Luizy, idącej w milczeniu obok Żarnowskiego.

— Gdzie panią odprowadzić? — zapytał, widząc, że dziewczyna jest trupio blada.

Wymieniła ledwo dosłyszalnym szeptem ulicę i numer domu i znów milczeli.

Żarnowskiemu było szalenie przykro, gdy widział, jak przybita jest owa *boska Lu*.

— Czym pani tak bardzo naraziła się tym babom?

Podniosła oczy pełne niewymownej skargi i bólu, oczy szczere i czyste, mówiąc:

— Nie wiem... naprawdę nie wiem. Nie zrobiłam nic złego. Na wykładach nigdy z nimi nie rozmawiam. Kolokwia zdałam bardzo dobrze, mówiły, że pewno coś pokazałam profesorowi. W klubie flirtowałam to prawda, ale tu, na uczelni, nigdy. Sami panowie narzucali się. Ale,

Boże... tak bym chciała umrzeć! Już tyle przeżyłam bólów i upokorzeń!

— Niech pani nie płacze, bo ludzie zwrócą uwagę. Czy rodzice wiedzą o zawodzie pani?

— Nie mam rodziców.

— No, a rodzina?

— Nie mam już i rodziny. Jestem sama.

Spojrzał ze szczerym współczuciem.

— Panno Luizo, proszę się teraz już nie przejmować dzisiejszym zajściem. Było, przeszło... głupstwo... Jak dawno pani występuje?

— Trzeci miesiąc.

— I już została pani primabaleriną... Jakże to?...

Protekcja?

— Proszę pana, skąd biedna dziewczyna może mieć protekcję... ot tak, zwyczajnie, i reżyser, i dyrektor zachwycali się moim tańcem i teraz dostałam główną rolę... przedtem miałam tylko krótkie solowe numery...

— Ach tak!

Znowu długie milczenie.

— Ja już tu mieszkam. Pan musi być strasznie dobry i mądry. Tak bym chciała dłużej porozmawiać z panem. Proszę wejść teraz do mnie na chwilkę,

— Aha... zaczyna się — pomyślał.

Nie odmówił jednak i zaraz został mile zdziwiony nieśmiałym a wdzięcznym zachowaniem się dziewczynki. Wyglądała zupełnie, jakby pierwszy raz przyjmowała u siebie gościa. Tak go to uderzyło, że zapytał:

— U pani nikt nie bywa?

— Nie, koleżankom brak czasu, zaledwie kilka razy wpadły do mnie na chwilkę. Z kolegami po fachu nie żyję tak blisko. Przeważnie spotykam się z kim chcę poza domem. Czy mogę pana poczęstować herbatą... Proszę nie odmawiać, taka jestem panu wdzięczna, nie mam teraz nikogo, kto by się za mną ujął.

— Pani mówi *teraz*, czy przedtem był ktoś taki?

— Był, ale odszedł.

Postawiła na stoliku herbatę, kruche ciasteczka i owoce.

— Wie pan? Niedawno skończyłam czytać *Marię Magdalenę*... Dużo rzeczy tam nie rozumiem, ale wydaje mi się, że ja właśnie jestem taką samą jawnogrzesznicą, którą wszyscy potępili.

— Dlaczego pani nazywa siebie *jawnogrzesznicą*?

— Bo taka jestem, nawet ciocia mnie tak nazwała.

— Więc pani jednak ma ciotkę?

— Tak, ale proszę posłuchać... — w krótkich, pełnych żalu i goryczy słowach opowiedziała historię pobytu u ciotki.

— Nie miała tam pani słodkiego życia... doprawdy!

— Oj nie!

— Muszę już panią pożegnać... ale niechże pani nie myśli o dzisiejszym przejściu, proszę liczyć na moją pomoc.

W tej chwili usłyszeli pukanie.

— Proszę!

Weszło trzech studentów, którzy brali udział w dzisiejszym zebraniu.

— Lulu, przyszliśmy pani powiedzieć, że nie warto się przejmować tymi idiotkami z *Moralności*.

— Co tam, słodka Lu... rzuć tę budę... my ci zawsze będziemy wierni...

Ale *słodka Lu* stała jak mur, wreszcie rzekła z uśmiechem:

— Jesteście bardzo szlachetni, wołałabym to jednak usłyszeć tam na sali, a teraz proszę:

— otworzyła drzwi. — Dla was, zacni panowie, miejsca tu w pokoju aktorki i kokoty nie ma... proszę wyjść!

Zatrzasnęła za nimi mocno drzwi i uśmiechnęła się do Tadeusza, obserwującego całą scenę w milczeniu.

— W porządeczku... Otworzę teraz okno, bo pokój czuć świątobliwą cnotą... tak... No i nie zatrzymuję. Do widzenia... Jeszcze raz dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił.

Podawała mu rękę, którą przycisnęła do ust. Wyszedł.

A Lu uklękła przed łóżeczkiem:

— Dobry, miłosierny Jezu, któryś nawet Marii z Magdali przebaczył, choć była ode mnie starsza i miała rodziców, więc była mądrzejsza, przebacz i mnie biednej, samotnej Lu i daj, bym mogła kogoś pokochać tak gorąco, bym zapomniała o Kaziku i wszystkim, co mnie boli. Daj, żebym nareszcie znalazła gdzieś ukojenie i ciszę. Połóż kres mojej szalonej, zabijającej tęsknocie... O Jezu... Jezu... Jezu!....

Oparwszy głowę o poręcz łóżka łkała głucho, a łzy zmywały resztki pudru z twarzy.

Upłynął tydzień. Lu co dzień wieczorem szukała wśród widzów Tadeusza, nie przychodził jednak, budząc w sercu dziewczęcia niejasny żal i cały powikłany zwój smutnych pytań.

Ale w sobotę przed samym występem otrzymała bilecik:

Szanowna Pani!

Jeśli pani nie ma zajętego wieczoru, może mogłaby go poświęcić dla mnie. Proponuję spacer nad Wisłę, bo pogoda wymarzona. Będę czekał u wyjścia.

Oddany

Tadeusz

Zarumieniła się tak mocno, że koleżanki zaczęły się dopytywać, co zawiera bilecik?

— Nie mogę powiedzieć, bo to poważna rzecz.

— Oho! Luiza ma kochanka!

— Nie zgadłyście wcale, moich kochanków z przyjemnością wystawię na licytację.

— A sobie zostawię opiekuna z brzuszkiem i z dolarami.

— Nie znoszę słoniny, a portfel wam zostawiam do dyspozycji

Śmiały się wszystkie, śmiała się uradowana Lu. Nie przypuszczała, że ten małomówny liścik sprawi jej taką przyjemność.

Toteż wybiegła szybko z teatru zaraz po swoim numerze i wpatrywała w dal oczy, gdy z boku wysunęła się znana postać i sympatyczny głos zapytał:

— Czy nie będzie pani za chłodno w tym okryciu?

— Dobry wieczór, myślałam, że pan mnie nie znajdzie... byłam już niespokojna.

— Na szczęście jednak mam dobre oczy, ale pani zapewne bez kolacji, wobec czego proponuję...

— Niech pan nic nie proponuje, bo mam świetny pomysł, przejdziemy się króciutko nad Wisłą, a potem zapraszam pana do siebie na kolację. Będą dziś faszerowane jajka, prosiłam Michalinę, by zrobiła dziesięć... ja to strasznie lubię... U cioci dostawałam zawsze tylko jedno, a

teraz mogę zjeść ile chcę.

Tadeusz się śmiał:

— Pani ma szalony apetyt!

— O, tak, zwłaszcza gdy jestem w dobrym humorze... a zresztą, gdy nawet wszystkiego nie zjem, to lubię widzieć, że jest dużo i to moje!

Panno Lulu, nie chcę pani obrazić, ale powinna pani wiedzieć, że przyjmowanie mężczyzn o tej porze nie jest zbyt na miejscu,

— Wiem, ale nie rozumiem dlaczego? Dlaczego mogę z mężczyzną zjeść kolację w restauracji o dwunastej, a nie mogę przyjąć go u siebie o dziesiątej.

Popatrzył długo i badawczo, ale wytrzymała wzrok spokojnie i nawet ślad cienia nie zmącił jasności jej oczu.

— Czy pani udaje naiwną, czy istotnie sprawy sobie nie zdaje z niebezpieczeństwa jakie pani grozi?

— Niebezpieczeństwa? Pan ma na myśli pocałunki Mój Boże! Już tylu mężczyzn mnie całowało, że mi już nic nie grozi, a zresztą, czy we dwoje koniecznie się trzeba całować?

Na to Żarnowski nie znalazł odpowiedzi, patrzył tylko na spokojną śliczną twarzyczkę Lulu i myślał: — Czyżby wyrafinowana komediantka?... Czyżbym się mylił?

Bez słowa doszli do mostu i przystanęli, patrząc na fale przyprószone srebrnym pyłem księżycowych blasków. Niewypowiedziany czar w bezmiernych kwietnych dniach początek biorący, czas nocy wiosennej, kołyszącej się teraz leniwie na falach, spowiął młodych lśniącem tumanem.

Tadeuszowi zdawało się, że obok stojąca smukła dziewczuszka jest istotnie czystą i słodką duszą, mogącą dać szczęście ukochanemu mężczyźnie. Ona zaś myślała, jakby to było dobrze oprzeć głowę na piersiach tego spokojnego człowieka, i przypomniała sobie nagle Kazika. Twarzyczka dotąd łagodnie rozmarzona przybrała tak tragiczny wyraz, że Tadeusz spytał cicho:

— Co pani?

— Nic, nic... wspomnienie! — i z oczu spadły dwie ogromne łzy. Potrząsnęła głową. — A teraz mimo cnotliwego oburzenia i protestu zabieram pana do siebie na kolację...

Poszedł... Sam nie wiedział, dlaczego jej ulegał.

Otworzyła im drobna mizerna kobiecina.

— O, Jezu! Tak wczas... dopiero co uprzątałam... przyszłam późno z prania... ani nie tknęłam kolacji.

— To lepiej Michalinko, bo trzeba zrobić większą porcję, mam gościa, który też uwielbia faszerowane jajka, a jak spróbuje arcydzieła Michalinki, to mi ją porwie.

— O, panienka to tyż... zawsze do śmiechu! Jak ten szpaczek. A jak będzie trochę śwedu to nic... można okno otworzyć... — Weszła za firankę.

— Widzi pan mam tylko jeden pokój, więc zrobiłam sobie za firanką kuchnię, a Michalina gotuje mi śniadania, kolacje i sprząta.

Proszę tu, na kanapce będzie panu wygodniej.

— Panno Luizo... chciałbym zapytać... pani miała narzeczonego?

— Nie, to nic był naręczony, tylko kochanek, nie zaręczyliśmy się. Kochałam go szalenie... los nas rozdzielił,

— Dlaczego?

— Bo ja chciałam zostać jego żoną, a on chciał mnie kochać bez ślubu... więc odeszłam.

Fala krwi opłynęła serce Tadeusza. Ucieszył się... głupio... głupio uradował, dlaczego, nie wiedział.

— Czy to dawno?

Spuściła niziutko głowę:

— Nie... bardzo niedawno!

Zaczął rozmowę na inny temat. Zza firanki szły zachęcające zapachy.

Wkrótce Michalina ustawiła talerze i młoda gospodyni zaczęła serdecznie gościa częstować. Zapanował wesóły nastrój. Lulu dokazywała jak pensjonarka. Tadeusz śmiał się bez przymusu. Gdy wreszcie zdecydował, że pora odejść, ucałował drobne rączki i rzekł z pewnym wahaniem:

— Jeżeli pani pozwoli przyjdę we wtorek przed południem. Może wybierzemy się na dalszy spacer.

— Dobrze... dobrze... dobrze...

Przy samych drzwiach już odwrócił się i spojrzał w oczy dziewczyny. Uśmiechała się jak dziecko.

Żarnowski nie wątpił, że był pod wpływem uroku Luizy. Sam nie wiedział, kiedy to się stało... Od owego pamiętnego zebrania cały tydzień walczył z sobą, nim zdobył się na wysłanie listu. Ale pociągało go coś nieokreślonego w oczach Luizy, coś co mówiło, że tancerka w gruncie rzeczy jest szczerym, niezepsutym stworzeniem, takim właśnie jak jej przedziwny, niezrównany uśmiech. Z drugiej zaś strony, nie chciał wpaść w sidła wyrafinowanej kokietki, która mogła mieć przecież tysiące sposobów wyłudzenia pieniędzy i zdobywania laurów. Jasne było, że wielbiciele tancerki nie zadowolają się chyba tylko uśmieszkami i spojrzeniami. Tymczasem postępowanie Luizy wytrąciło go z równowagi. Spodziewał się perfidnej kokieterii, znalazł na dnie szczerego uśmiechu głęboki smutek.

Wieczór spędzony z Luizą wywarł na nim wrażenie smugi jasnego, ciepłego światła. Musiał podziwiać wdzięk dziewczynki, szczerą i brak pozy. A przecież wyraźnie powiedziała: miałam kochanka... całowało mnie wielu... Jeśli więc miała kochanka, to zna już życie, a jeśli je zna, to w jakim celu udaje naiwną? Miała kochanka i odeszła, bo nie chciał się z nią ożenić. Więc jest dumna i uczciwa. Uczciwa? A któż zaręczy, że na miejsce tego jednego nie ma teraz kilkunastu, których nie kocha.

A mimo tych wszystkich refleksji – we wtorek do Luizy poszedł.

Otworzyła mu drzwi uśmiechnięta, zalana rumieńcem.

— Jaki pan punktualny... to rzadka cnota...

— Tylko przyzwyczajenie, a zatem idziemy do Łazienek!

O, jasny, w seledyny spowity dzionku wiosenny. W oszałamiającym tumanie woni, w złocistym kryształe rozświetlonego powietrza, w dźwięcznych falach ptasiego gwaru, w cudownym uniesieniu młodych, bijących serc jest twoje królestwo. Uśmiesz się jednakowo do wszystkich; do bladej kwiaciarki i zgrzybiałego nieszczęśliwego inwalidy... do robotnicy o czerwonych zmęczonych oczach i dziewczyny obsypanej pudrem i karminem. O, jasny wiosenny dniu! Jesteś jak srebrny dzwon budzący uśpione na dnie duszy ludzkiej porywy, które przysypał popiół szarzyzny dnia. W dłonie zapachem fiołków przesycone bierzesz serca ludzkie, do słońca je wznosząc... O, jasny, wiosenny dzionku!

Luiza milczała. Szli alejami, które tonęły w słońcu i zapachu... Dziewczyna zupełnie widocznie była wzruszona.

— Ach, żeby pan wiedział jak mi dobrze — rzekła wreszcie — zupełnie, jakbym miała skrzydła, tak mi lekko. W tej chwili jestem prawie szczęśliwa... zapominam o wszystkim, co mnie boli, nie mam nawet do nikogo żalu ani nienawiści.

— Czyż pani w ogóle jest nieszczęśliwa? Młoda, piękna, otoczona hołdami... dziwne!

— A pan myśli, że hołdy zastąpią jedno wierne kochające serce... pan myśli, że takie gorączkowe z dnia na dzień życie nie męczy na dalszą metę?... pan sądzi, że jeśli kobieta

uśmiecha się i żartuje, to już koniecznie musi pogodę i w duszy nosić. Ja nie umiem wypowiedzieć tego, co czuję, wiem tylko, że jestem skrzywdzona, że wszyscy otaczający mnie ludzie w gruncie rzeczy są mi obcy. Chciałam zapomnieć swój ból i tęsknotę – udało mi się, ale niezupełnie.

— Pani myśli o zerwaniu z tamtym człowiekiem.

— Tak, ale i poza tym cierpiałam dużo niezasłużenie. Dlaczego, na przykład, rodzina zabroniła mi występować w klubie, kiedy to była moja jedyna przyjemność... Ja kocham taniec, kocham sławę. Dlaczego ludzie nieznający mnie pisali do dziadka anonimy... zasypywali mnie obelgami... Ja jeszcze wtedy nie byłam upadłą dziewczyną... że chodziłam do cukierni i restauracji... to co?... A moje koleżanki nie chodziły? Ale przecież właśnie one zapoznały mnie z życiem światowym, z gabinetami i kolacyjkami...

Żarnowski zmarszczył czoło, a ona ciągnęła,

— Ale gdy się przekonałam, że zawsze mają zamiar mnie całować, dałam parę razy w papę i już. Byłam wierna Kazikowi, zresztą pocałunki bez uczucia są nietyczne. Dopiero potem, gdy zrozumiałam, że z Kazikiem już wszystko skończone, upadłam ostatecznie... Całował mnie, kto chciał... O, mój Boże! Ja już nie ta dawna jasna Lulu... I wiem, że tu w tym słonecznym parku jestem preraźliwym zgrzytem. Taka kokota... aktorzyca!

— Panno Lulu, mnie się chwilami zdaje, że pani gra komedię, w każdym razie nie rozumiem, co pani nazywa swoim upadkiem.

— No, jakże... a te pocałunki dla zapomnienia!

— Tylko pocałunki?... tylko pocałunki? Lulu, proszę w tej chwili być szczerą, proszę nie udawać.

Szeroko otworzyła zamglone łzami oczy, wyrażające smutne zdziwienie.

— Tylko! A o czym jeszcze pan myśli?

— Pani udaje!... na Boga... dość tej komedii. — Chwycił jej rękę. — Więc tylko ten jeden panią miał?

— Boże mój, jak mam przysięgać? Tylko ten jeden!!

Odetchnął i podniósł jej rękę do ust.

— Wierzę... wierzę... i wiem, że pani jest bardzo biedne dziecko!

Uśmiech przez łzy, a potem melodia słów prostych i żalonych. Opowiadała o ciotce, o kuzynkach, o koleżankach i kolegach... o pierwszych krokach na scenie i niespodziewanym powodzeniu. Żarnowski był zupełnie oszołomiony i zbity z tropu. Historia smutnego gorącego serca, którym źli ludzie rzucali jak kolorową piłką, wzruszyła go niewypowiedzianie.

— Już pewnie późno — westchnęła Lulu... — Jezus Maria, druga! O pół do trzeciej próba nowej rewii.

— Głupstwo, weźmiemy taksówkę

W Alejach Lulu dostrzegła pana Jarockiego.

— Widzi pan? To mój dziadek... udaje, że mnie nie zna... Mniejsza z tym, zna mnie za to cała Warszawa.

Stanęli przed teatrem... Tadeusz pocałował ją w rękę.

— Do widzenia panno Lulu... moja maleńka!

Spojrzała zdziwiona i wzruszona, a wyskakując z taksówki szepnęła:

— Niech pan do mnie napisze!

W teatrze zauważyła wśród koleżanek wielkie podniecenie. Zebrane w grupki gestykulowały i poszeptywały zajadle.

— Lulu... Lulu... chodź prędko... nowina!

— Co się stało?

— Wiesz twoja poprzedniczka primabalerina w szpitalu...
— Zepsuła sobie dziecko i teraz kłapa!...
— To podobno z dyrektorem...
— Lulu... pilnuj się, szkoda by cię było... nosa nie zadzierasza... nie daj się!
— Jezus Maria... nic nie rozumiem. Jakie dziecko... przecież to była panna!
— Ładna panna... ale co ty głupia... udajesz?
— Nie udaję, ale ciocia mówiła, że jak panna ma dziecko, to hańba i obraza boska.
Odpowiedzią był chóralny wybuch śmiechu
— Jesteście niegodziwe! Czemu się śmiejecie ze mnie... Tola, wytłumacz mi, o co tutaj chodzi.

— A to widzisz Macconi puszczała się z dyrektorem... choć ona i na reżysera miała chrapkę... no i oczywiście bęc... coś nie w porządku. Okazuje się, że lekka Macconi w ciąży... chciała się pozbyć... ale coś tam nie tego, więc ją zabrali do szpitala...
— Przecież mówiłyście, że to dziecko dyrektora.
— No też tak.
— Przecież nie był jej mężem... i zresztą jak mógł pozwolić na coś podobnego...
— Chachacha... Chichichi... głupia... oj umrę... skonam... głupia... — śmiech... szalony homeryczny śmiech.

Lulu stanęła w płomieniach. Zacisnęła pięści i podniosła je tak, jakby chciała się rzucić na roześmiany krzyczący tłum, ale ręce jej opadły i wybuchnęła głośnym płaczem, co zrobiło wielkie wrażenie na zebranych.

— Cicho Lulu... no, uspokój się... nie chciałyśmy ci dokuczyć...
— Czemu... czemu wyśmiewacie się ze mnie, kiedy ja wcale nie rozumiem — wyszłochała.

Spojrzały po sobie i oddaliły się po cichu trochę zmieszane.
W tej chwili nadszedł i reżyser. Lulu błyskawicznie otarła łzy i stanęła w grupie.
Rozpoczęto próbę. W pewnej chwili reżyser z natury bardzo niecierpliw krzyknął:
— Do stu tysięcy diabłów, co ty wyprawiasz z nogami, Alma... uważaj... raz... dwa... raz... dwa... Prosto się trzymaj... Szlag mnie tu trafi...
Biedna baletniczka mimo starania nie umiała dać sobie rady z nową trudną figurą...
— Jezus Maria... gdzie trzymasz nogę... Krowy doić... kury macać, a nie do baletu...
Ruszasz się jak mucha w smole...
— Proszę pana, niech pan tak nie krzyczy na Almę... ją noga boli... — zainteresowała Lulu.
— Nic mnie nie obchodzi... niczyje nogi... Proszę się nie wtrącać...
— Ale to ja ją kopnęłam... do jutra wszystko będzie w porządku... mój śliczny, drogi, złoty panie...
Reżyser zmiękł... bądź co bądź Lu była primabaleriną i ulubienicą wszystkich, trzeba się z taką „wielkością” trochę liczyć.
— No, dobrze... dziś daruję, ale proszę uważać, bo to diabli człowieka mogą wziąć...
— O, mój Boże... co by to było za szkoda... rzuciłabym scenę. Oj... oj... niech się pan nie marszczy... już tańczę.

I burza została zażegnana, Alma zaś patrzyła na Luizę z uwielbieniem.
Zaraz po próbie podeszła do primabaleriny nieśmiało:
— Jakaś ty dobra... dziękuję ci, ale przecież mnie nie kopnęłaś...
— Wielka rzecz, a ty nigdy nie blagujesz? Zabieraj manatki i chodź do mnie, już ja ci te nogi powykręcę, jak trzeba.

Dwie godziny uciążliwej pracy, podczas której obie tancerki ocierały pot z czoła, ale za to na drugi dzień reżyser wziął się za głowę.

— Panno Almo... cudownie... wspaniale...

— A widzi pan, bo ma zdrową nogę — wtrąciła Lulu.

Tancerki chichotały po cichutku:

— Jednak nasza Lu to morowa... morowa!

Wieczorem na przedstawienie przyszedł Żarnowski i posłał za kulisy bilecik:

— Jestem w siódmym rzędzie, proszę się do mnie uśmiechnąć.

Schowała liścik i wykręcając piruety, ścisnęła po kolei wszystkie koleżanki.

— Oho... Lu już otrzymała słodki liścik od *niego*.

— Masz... skosztuj... Będę przynajmniej wiedziała, że mówisz z przekonaniem — roześmiała się Lu i poszła do swej garderoby.

— Dziś będę tańczyć jak duch dla niego — myślała, ubierając się starannie. Nagle jasną twarz schmurzył bolesny wyraz: — Kazik! Kazik! — gorzkie, dławiące wspomnienie!...

Dzwonek! Wybiegła na scenę.

— Panno Lulu... pani dziś tak cudownie tańczyła, że doprawdy byłem wzruszony.

— Chciałam się panu podobać — rzekła szczerze.

— A jak tam apetyt... czy dopisuje?

— Dlaczego?

— Chcę się dowiedzieć, czy pani nie ma jakiego zmartwienia.

— Widzi pan, że właśnie mam zmartwienie.

— Co znowu dziecku zrobili?

— To cała historia, której trochę nie rozumiem. Koleżanki mi powiedziały, że Macconi, dawna prima, miała mieć dziecko z dyrektorem, ale ona jest przecież panna... a on nie jest jej mężem, więc nie rozumiem, jak się to wszystko zrobiło, jak ona mogła je sobie popsuć, no i powiedziałam to koleżankom i wołały na mnie: *głupia... głupia!* Macconi leży w szpitalu.

Długa chwila milczenia, wreszcie zmieniony głos Tadeusza:

— Lulu, pani nie kłamie?... Nie udaje?

— Boże mój... dlaczego pan zawsze posądza mnie o kłamstwo!

— No już dobrze... dobrze... Lulu... Lulu mała. Wziął ją pod rękę, wzruszenie hamowało słowa, nie mógł nawet znaleźć wyrazów... za to myśli krążyły z szaloną szybkością. Poszli znów nad Wisłę.

— O, niech pan spojrzy, woda taka cicha, a ilu osobom przyniosła śmierć. Co się tam dzieje na dnie? Myślę, że tak jest i z ludźmi. Twarz urobiona w maskę... a w głębi? Tak mi smutno!

Przyciągnął ją delikatnie do siebie i oparł jej główkę o swoje piersi.

— Tak dobrze? — spytał.

Podniosła wzruszone oczy, ale milczała, doznając w tej chwili wrażenia, jakby te przeświecone ciche fale przepływały przez jej serce.

— Chodźmy już Lulu, bo późno, a ja mam zamiar zaprosić cię na pół godzinki.

— Proszę bardzo, ale może pojedziemy autem, bo jestem trochę zmęczona.

Całą drogę szczebiotała, tematów przecież nie zabrakło... o Almie, o grubym fabrykancie, co przyszedł za kulisy z czekoladkami i chciał pocałować nóżkę.

— No i co?

— No i nic, powiedziałam mu: *dobrze, ale w pantofelek*. Zgodził się. Ja wtedy postawiłam pudło na ziemi, zdjęłam pantofelek i dałam do pocałowania. Trochę był zły, ale najbardziej się bałam, żeby czekoladek z powrotem nie zabrał, dlatego nawet postawiłam pudło

na ziemi. Taki gruby, to się nie może schylić. A potem zawołałam koleżanki i zjadłyśmy od razu wszystko.

— A to z pani łobuziak!

— No, bo żeby choć był młody i ładny, to już bym nie żałowała kawałka nóżki... ale taki... o nie!

Zajechali na miejsce. Tym razem Lulu usiadła na kanapce obok Tadeusza. Oboje byli bardzo wzruszeni i rozmarzeni. Lulu czuła, że ten wieczór jest dla niej decydujący. Tadeusz zaś nie chciał się już bronić uczuciu, które go ogarniało potężnie. Toteż mówili mało i cicho. Wreszcie Żarnowski odszedł. Lulu zaś do późnej nocy siedziała na kanapce z twarzą w dłoniach. Przycichła w niej tęsknota. Dobrze jej było przy boku człowieka, który nie prawił jej komplementów, nie całował, choć wiedziała, że nie jest mu zupełnie obojętna. Wpatrzona w gwiazdy szeptała słowa gorącej podziękności za szczęście, jakie ją spotkało... za to nowe budzące się w niej uczucie... za spokój, który w jej sercu zagościł.

⁽¹⁾ Korporacja akademicka (korporacja studencka) – stowarzyszenie zrzeszające studentów i absolwentów uczelni wyższych, posiadających pewne cele, ideały i chęć samodoskonalenia.

ROZDZIAŁ VII

Było już rzeczą zdecydowaną, że Tadeusz kocha małą Lu. Doszedł do tego wniosku po długich rozmyślaniach. Zsumował wszystkie pro i contra a ostatecznie został przez swoje własne serce sromotnie pobity.

I kiedy już wyznał sobie to uczucie, rzucił się z zamkniętymi oczami w fale ogarniającej go radości i szczęścia. *Malutka, słodka, jasna Lu* stała się osią, dokoła której obracały się wszystkie myśli i czynności Tadeusza.

Spędzali z sobą wszystkie wolne chwile, rozmawiali bez zmęczenia długie godziny. Życie Luizy stanęło przed nim jak wielki pałac, w którym otwarto wszystkie okna i drzwi. Zrozumiał wszystko i nie tylko, że ją kochał, ale zaczął uwielbiać. Nie zdradził jednak swej tajemnicy ani słówkiem. Chciał, by i ona pogrzebała przeszłość i oddała swoje biedne samotne serduszko dobrowolnie.

I raz w cichą noc czerwcową, gdy wróciła do domu po występie, który znów był jej wielkim tryumfem, zrozumiała, że do serca jej wkradł się ktoś inny od Kazika. Po tamtym został tylko cień. Powiedziała jej o nowej miłości tęsknota i ból, jakiego doznała, nie widząc Tadeusza w teatrze (on zrobił to co prawda umyślnie). W ciemną duszną noc czerwcową ujrzała nagle swą miłość i przelękała się jej. Czy znów ma cierpieć od początku? Znów przeżywać godziny męki, tęsknoty i upokorzenia? Leżała na kanapie, płacząc gorzko, rozpaczliwie. Ach, żeby on teraz przyszedł, powiedziałabym mu wszystko. Rzuciłabym scenę, tryumfy, wielbicieli, a jedynym pragnieniem byłoby dać mu szczęście.

Żarnowski pokazał się dopiero w trzy dni potem. Przywitała go milczeniem i falą rumieńców.

— Co słyhać, panno Lu? Podobno rewia wypadła wspaniale.

— Owszem, ale czemu pan nie był?... Tak czekałam... Potem wzięli mnie na kolację. W sobotę ostatnie przedstawienie. Mamy sześciotygodniowy urlop, a potem jedziemy do Krynicy. Wróciłam do domu... i... mazałam się.

Wziął ją za rękę.

— Czego płakałaś Lu?

— Smutno mi bez pana. W ostatnich czasach, gdy tańczyłam, starałam się robić to jak najładniej dla pana. Na tej nowej rewii zasypali mnie kwiatami, ale pomyślałam, że wszystko bym oddała za jeden uśmiech. Pan się tak uśmiecha do mnie jak do małej dziewczynki. Gdybym miała tatusia – uśmiechałby się chyba tak samo. A tu patrzę... patrzę przez wszystkie dziurki... nawet lornetkę wzięłam... nic! A tak ślicznie byłam ubrana jak nigdy. Kostium mi komponował jeden malarz. Więc potem już straciłam humor, choć dostałam mnóstwo czekoladek i złotą bransoletkę. I gdy wróciłam do domu – płakałam. Myślałam sobie, czemu nie jestem jaką przyzwoitą panną, tylko taką małą Lu... pan by może... — umilkła, jakby przestraszona, że za dużo powiedziała, ale Żarnowski wziął jej główkę w swoje dłonie i patrząc prosto w oczy, spytał:

— Kochasz mnie, Lulu?

Nie odpowiedziała, mrugnęła tylko rzęsami i spod spuszczonej powiek spłynęły dwie łzy. Tadeusz przytulił wtedy mocno dziewczynkę do piersi i mówił drżącym głosem:

— Bo ja ciebie bardzo kocham Lu. Jesteś moją wymarzoną, słodką dziewczyną, czasem trochę kapryśną, ale poza tym godną wielkiej i szczerzej miłości.

A jej, głos ukochanego wydał się muzyką chórów anielskich. Stała nieruchomo, z opuszczonymi wzdłuż sukienki rękoma. Nie ośmieliła się jeszcze otworzyć oczu, z których biegły nieprzerwanym strumieniem łzy. Nie ośmieliła się nawet ruszyć głową. Cała jej gorąca, żywiołowa natura przepelniona była uczuciem wdzięczności dla Boga za doznane szczęście.

— Lulu, spojrzysz na mnie... uśmiechnij się...

— Ach, jestem taka szczęśliwa... Nie chcę otwierać oczu, by mi nie przysło wszystko, jak sen.

— Bądź spokojna, maleńka... Lulu... ja nie jestem grubym fabrykantem, czy dasz mi usteczka?

Dopiero teraz zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarzyczkę do ramienia młodego człowieka, szepcząc:

— Tak... tak... taki

Oczywiście skorzystał z pozwolenia!

Usiedli potem obok siebie na kanapce. On objął drobną figurkę pieśczośliwie, pragnąc mieć ją najbliżej serca, a Lu szeptała:

— Tak mi dobrze... nareszcie znalazłam to coś, czego szukałam, wielką uczciwą miłość, której mogę wszystko poświęcić.

— A Kazik? Wszak kochałaś go bardzo.

— Tak! Ale to było co innego, myślę, że za gwałtownie przyszło do mnie tamto uczucie, nie zdążyłam się opamiętać nawet. Nikt mnie jeszcze tak nie pieścił, nie przemawiał tak do mnie. Chodziłam jak zahipnotyzowana, aż przyszedł dzień bolesnego przebudzenia. W panu widziałam tylko dobro i szlachetność, nie zrobiłeś mi nigdy najmniejszej przykrości i dlatego... — urwała.

— Dlatego... co? — zapytał Tadeusz.

— Dlatego pokochałam pana! — skończyła ledwo dosłyszalnym szeptem.

— A ja też nie oddam nikomu zdobytego serduszka mojej małej Lu.

Ponieważ czas było iść już do teatru, pożegnali się długim pocałunkiem. Luiza nie pozwoliła Żarnowskiemu, by ją odwiózł, mówiąc:

— Już wolę jechać sama, bo czuję, że nie wysiadłabym z auta.

Tadeusz wrócił do siebie, rozmyślając, czy od razu postawić sprawę jasno i zabrawszy Luizę do majątku, oddać pod opiekę matce do czasu zawarcia małżeństwa, czy też pozwolić jej wyjechać do Krynicy. Po długim namyśle zdecydował, że wyjazd będzie najlepszym sprawdzianem mocy i trwałości dziewczyny, bo choć nie wątpił w jej miłość, to jednak mogła się ona zrodzić li tylko z zaufania i szacunku. Osierocona dziewczynka, spotykając na każdym kroku ludzi, pragnących wyzyskać jej młodość, wdzięk i urodę, pokochała człowieka, który okazał się bezinteresownym, po prostu tak, jak życzliwego, serdecznego przyjaciela.

Tu jednak Tadeusz się mylił. Uczucie Luizy, choć oparte na zaufaniu i szacunku, miało jednak tę bezkresną głębię pierwszej miłości kobiety, nie dziewczynki, bo Lu bezsprzecznie, mimo swej wielkiej nieświadomości, spoważniała wewnątrz. Krótki, a bogaty w przeżycia okres zabił dziecięcą pogodę i bez troskę, przestała ludziom ufać. I w tej pełnej goryczy, smutnej duszy, spragnionej miłości i na wskroś kobiecej, rozpalilo się uczucie, które z dnia na dzień olbrzymiało, ale rzecz dziwna... zmysły przycichły, zaśluchane w ogromny mocą śpiew serca, które teraz dopiero otworzyło przymknięte oczy, by spojrzeć w twarz prawdziwemu szczęściu.

Nastąpiło ostatecznie przedstawienie w sezonie, po którym za kulisami zapanował istny sądny dzień. Zwalila się tu cała kawalkada panów, pragnących swym pupilkom zrobić owację. Co chwilę wychodziła jakaś grupka, ginąc potem w świetle buchających czeluściach nocnych

lokali.

Przed garderobą Luizy panował formalny tłok. Stali tu: sam dyrektor i reżyser w otoczeniu *grubszych ryb*, planując na ulubienicę zamach. Postanowili urządzić na cześć pupilki bankiet w najwytworniejszej restauracji i mimo gorących protestów panienki, murem stali przed garderobą.

Ostatecznie Lu ubrała się w suknię przeznaczoną na *oficjalne przyjęcia*. Ciężki złotobrazowy jedwab wspaniale harmonizował z włosami dziewczyny, a obciskając mocno figurkę, upodabniał ją do świecącego węża. Gdy stanęła na progu, otulona w płaszcz, z twarzą zaróżowioną, w aureoli złotobrazowych loków, przywitał ją chór zachwyconych głosów. Trzy samochody zawiozły towarzystwo do restauracji. Przez główną, jarzącą się światłem salę przeszli do oddzielnego gabinetu.

Wszystkie oczy zawisły na postaci Luizy idącej w towarzystwie dwóch koleżanek. Zabrzęczał mocniej szmer uwag, ale tancerka szła równo, elegancko, choć trochę leniwie. Na ukłony odpowiadała grzecznym pochyleniem główki. Przy jednym ze stolików spostrzegła swoje kuzynki: Marysię i Ziutkę w towarzystwie młodzieńców. Uśmiechnęła się lekko i szepnęła coś swym towarzyszkom, które zamiast iść prosto, zboczyły tak, by koniecznie przejść obok wskazanego stołu. Diablik Lulu rozpięła teraz zupełnie płaszcz, by kuzynki mogły widzieć suknię i biżuterię (mówiąc nawiasem fałszywą, do złudzenia jednak oddającą wrażenie drogocЕННОści). Panny zmieszały się bardzo i miały niezdecydowane miny, Lu tymczasem z całym towarzystwem zniknęła już w drzwiach gabinetu.

Stół był wspaniale przykryty i zasypany wprost kwiatami. Wkrótce podano kolację, dyrektor wznosił toast i palnął mówkę na cześć primabaleriny, która odpowiedziała ze zwykłym figlarnym uśmiechem:

— Ślicznie dyrektorowi dziękuję za niezasłużone pochwały, ale ponieważ z zasady nie lubię gadaniny, zwłaszcza gdy na stole tyle dobrych rzeczy, więc stawiam wniosek, aby ci wszyscy, którzy mają jeszcze ochotę przemawiać – powiedzieli mi to wszystko później... a ja... i tak słuchać nie będę... Tymczasem wiwat, niech żyje dyrektor i cały aparat kierowniczy, i wszyscy panowie z czekoladkami... Jestem szalenie głodna.

Głośny wybuch śmiechu był odpowiedzią na przemowę. Wino podniecało humory, któraś z aktorek zaczęła piosenkę, napisaną dla Luizy przez młodego poetę:

*O słodka Lu,
Maleńka Lu,
Rozkosznaś jest, dziewczyno.
Czas twoich kras
Upaja nas,
Upaja nas jak wino!...*

Piosenkę podjęto z niesłychaną werwą. Słysząc ją było na ogólnej sali i tu mimo woli panowie niektórzy zaczęli nucić wdzięczną melodię. Tymczasem panowie w gabinecie, już trochę podchmieleni, zaczęli sypać drastycznymi kawałami, kuląc się ze śmiechu ilekroć Lu spytała: — *No to co? Nie widzę w tym nic zabawnego*, lub: *A dlaczego?*

Jedni, myśląc, że *szelmutka udaje*, doskonale się takim „figielkiem” bawili, drudzy, lepiej znając *swoją małą*, śmiali się właśnie z jej naiwności. Tymczasem Lu troszeczkę „kropnięta”, wpadła w wyśmienity humor i gdy jeden z obecnych zasiadł do fortepianu, chwyciła baletmistrza: — *Ja chcę tańczyć... ja chcę koniecznie tańczyć.* — Za chwilę przytulny gabinet całkowicie zmienił wygląd. Stół odsunięto w kąt, na środku roześmiana Lulu wykręcała piruety z

wniebowziętym baletmistrem. Gruby redaktor pocił się w objęciach chudego i drągowatego literata. Naczelnik policji, któremu orderzy wisiały na brzuchu, charlestonował z misternym mecenasem. Wzniosły poeta objął miłośnię krytyka literackiego, depcząc mu namiętnie nowe lakiery. Dwie koleżanki Luizy, korzystając z okazji, całowały się ze swymi wytwornymi partnerami przy każdej zmianie figury. Potem nastąpiła zmiana dam, albo pseudodam, potem Lu tańczyła w kole solo. Atmosfera była coraz gorętsza, każdy, jeśli nie śpiewał, to przygwizdywał dyskretnie, a już wszyscy bez wyjątku machali w takt melodii rękami. Luiza tańczyła jak szalona, wreszcie zachwiała się i gdyby nie silne ręce dyrektora, upadłaby jak długa.

— Co pani wyprawia, jak można tak się mordować?!

— Ja nie jestem zmęczona, tylko mi się tak podłoga kiwa... już chcę do domu.

— Odwieziemy panią wszyscy — zabrzmiął ochotny chór, ale dyrektor powiódł wzrokiem po komnatach i rzekł ze śmiechem:

— Ba! Gdyby ten pokój wstawić na rolwagę⁽¹⁾, na pewno jechalibyśmy wspaniale, tymczasem trzeba będzie zawołać służbę na pomoc!

Ulokował Luizę w samochodzie i odwiózł ją do domu, ale okazało się, że dziewczyna nie wejdzie sama po schodach, wobec czego musiał ją zaprowadzić do pokoju. Odchodząc, nie mógł zapanować nad sobą i pocałował półprzytomną panienkę w odsłonięte ramię. Zatrzasnąwszy drzwi za sobą, pędem zbiegł ze schodów, chcąc jak najprędzej uciec od różowego niebezpieczeństwa.

Luiza spała jak suseł do dwunastej. Ubrała się szybko, chcąc wcześniej zjeść obiad, a potem pojechać do Łazienek. Była już na schodach, gdy ujrzała Tadeusza. Z okrzykiem radości wyciągnęła do niego ręce:

— Ach, jak to dobrze, że pan przyszedł... tak myślałam o tym!...

— Gdzie się wybierasz Lulu i czemu nazywasz mnie *panem*?

— Idę na obiad, a potem chciałabym jechać do Łazienek.

— Wobec tego na obiad idziemy razem, a potem... zobaczymy.

Zawahała się i szepnęła:

— Nie, ja nie chcę iść do restauracji z tobą, nie chcę, by nas widzieli i ostrzyli języki. To tak, jakby profanacja naszej miłości.

Spojrzał na nią wzruszony:

— Poczekaj, maleńka, wobec tego pojedziemy sobie na obiad za miasto:

Trzymając się za ręce, jak dzieci, zbiegli ze schodów i wkrótce jechali autem do Wilanowa.

Jakże cudny był ten czerwony dzionek dla małej Lu. Gdy po obiedzie szli przez rozśpiewany, upajający mieszaniną tysiącznych woni lasek, stanęła nagle i zarzuciwszy *Tadziowi* na szyję ramiona, szeptała:

— Tadzik... Tadzik, ja cię tak strasznie kocham, że mogłabym krzyknąć!

Zawsze spokojny i po mistrzowsku panujący nad sobą młody człowiek tym razem nie mógł stłumić pożaru krwi wołającej o swe prawa. Zgniół dziewczynę w ramionach i całował gorąco... do utraty tchu, szepcząc bezładne słowa pieszczoty.

Wracali późnym wieczorem... Gdy znaleźli się w małym pachnącym pokoiku Luizy, ogarnęła ich słodka ciepła cisza, wśród której słyszeli bicie własnych serc. Tadeusz na moment przycisnął Luizę do siebie i wybiegł szybko, a ona stała jeszcze chwilę na środku pokoju, z rękoma przy twarzy, zasłuchana w cudowny szum młodej, zbudzonej krwi. Wszystko, co przeżyła i przecierpiała z Kazikiem, zbladło i rozwiewało się mgłami w falach nowej miłości.

Zdziwiona pytała siebie, jak mogła tak szybko przyjść do równowagi i zapomnieć. Przyszły jej na myśl gwałtowne, oszłamiające pieszczoty Kazika. Gdyby w ten sposób

postępował z nią Tadeusz? Ciemny rumieniec oblał zadumaną twarz dziewczęcia. Kołysały ją w ramionach mocne ramiona Tadzika...

Wyobrażała sobie dotknięcie jego palców.

Gdy wreszcie położyła się do łóżka, objęła z całej siły poduszkę i wtuliwszy w nią nosek, usnęła.

* * *

Od samego rana czekała pana Piotra Jarockiego niespodzianka. Służąca zameldowała mu gościa. Zdziwiony starsuszek wszedł do gabinetu; czekał już na niego wysoki, postawny, przystojny mężczyzna.

— Przepraszam, że ośmielam się fatygować szanownego pana, ale mam bardzo ważny interes. Żarnowski jestem!

— Proszę bardzo... głupstwo,.. Czy pan z tych Żarnowskich ziemian?

— Tak, jestem ich synem.

— Znam ze słyszenia i z widzenia szanownych rodziców. Bardzo mi przyjemnie. Czym mogę służyć?

— Proszę pana, chodzi mi o pana wnuczkę Luizę, która jest moją narzeczoną

Pan Piotr pochylił się z krzesłem naprzód, wysunął dolną szczękę i zdumionymi oczyma uderzył w Tadeusza.

— Co? Pan narzeczoną tej dziewczyny? Tu zresztą zaszła omyłka. Panna Jarocka nie jest moją wnuczką.

— Proszę szanownego pana, nie grajmy komedii... Luiza jest rzadkiej wartości dziewczyną, a wypędziła ją spod pańskiego dachu zawiść i podłość ludzi. Nie oszczędzono jej żadnej przykrości, zamiast otoczyć jak największym ciepłem i opieką. Niewinne czyste dziecko uczyniliście złymi językami demonem przewrotności i zepsucia. Uważam to za zbrodnię. Pozwoliliście niedorostłemu dziewczątku odejść w świat, dając jej na drogę do zrozumienia, że jest ścierką. Panie, to było nieludzkie! A pannie Jarockiej wszystkie, rzucające w nią kamieniem oszczerstw i złośliwości świętoszki nie są godne rzemyka u nóg zawiązać.

— Co pan opowiada?... Pan jest nieprzytomny!...

— Najzupełniej przytomny! Naiwne, nieuświadomione dziecko wychowane w atmosferze złości i niechęci, zamknięte w sobie i smutne, posądziliście o zepsucie. Kto jej miał wskazać, jak żyć powinna?! Tkliwa ciotka, nie mogąca ścierpieć jej urody i dobroci, czy obmierzłe fałszywe kuzynki?

— Rozbija się po gabinetach!

— A gdzie miała spędzać wieczory, czy u rodziny, gdzie szykanowano każdy jej ruch i uśmiech, czy u siebie samotnie, po całodzienną pracę. Tam przynajmniej miała bezkrytycznych wielbicieli.

— Czego więc właściwie pan ode mnie żąda?

— By pan przyjął ją pod swój dach, dając jej przez to satysfakcję wobec rodziny.

— Pan żąda niemożliwości... co powiedzą ludzie?

— Panie Jarocki, pan jest za poważny, by zasłaniać się pozorami. Wiem, że w głębi duszy pan przyznaje mi rację.

— A pan jest tak bezwzględnie przekonany o jej niewinności?! Niewinna aktorka!...

Komedia!

Tadeusz zerwał się jak oparzony.

— Myślałem, że przychodzę do szlachetnego człowieka... omyliłem się!

— Pan mnie obraża!

— A pan obraża kobietę, którą kocham.

Jarocki milczał długą chwilę.

— Co ona wam zadaje, że się za nią wściekacie?!

— Nie panie, ja się nie wściekam, ja ją kocham; na tych, co się jak pan mówi *wściekają*, to moja Lulu gwizdże.

— Więc co ja mam w rezultacie robić?

— Sprowadzić wnuczkę do siebie i dać jej należyłą opiekę.

— Jak ja będę wyglądał?

— Jak uczciwy człowiek, który pragnie ochronić przed ludzką podłością niewinną dziewczynę

— Tak się to mówi... ale...

— O proszę pana! Tu nie ma *ale*, tu jest tylko jedna jedyna sierota Lulu. Niedługo zostanie moją żoną, a wtedy potrafię ją uchronić od wszelkiego zła. Tymczasem muszę o to prosić pana.

— Hm... hm... i ja siwy człowiek mam iść i prosić taką smarkatą, by raczyła tu wrócić?

— Pan tylko ułatwi jej radosny powrót.

Jarocki zaczął wielkimi krokami mierzyć pokój, wreszcie stanął w oknie i założywszy ręce w tył, podnosił i opuszczał pięty przez chwilę, wreszcie rzekł:

— A gdzie ona mieszka?

— Na Królewskiej pod siedemnastym.

— Aha!... No... dobrze!

— Żegnam pana i bardzo dziękuję, tylko Lulu nie może wiedzieć o mojej tu wizycie.

Jarocki przytrzymał rękę młodzieńca i szepnął:

— Więc Lulu jest zupełnie uczciwa?

— Nie przyszedłbym w innym razie do pana. Do widzenia!

Pan Piotr został sam. Wystygło mu śniadanie, zgasła fajeczka, a on siedział, wyciągnąwszy nogi w kierunku okna i dumiał.

Na drugi dzień kazał się wcześniej obudzić i już o dziewiątej stanął przed drzwiami pokoju Luizy. Na pukanie usłyszał odpowiedź:

— Proszę!

Wszedł z wahaniem i czuł się bardzo nieszczęśliwie.

Lulu siedziała przy śniadaniu i patrzyła nań pełnymi grozy oczami; wreszcie wykrztusił:

— No, Lulu, nie ma co, zabieraj manatki. Jesteś niemądra gaska... i wracaj do dziadka... wszystko jedno tu, czy tam...

Panienka połknęła szybko trzymany w ustach kąsek bułki i zawisła na szyi dziadka z krzykiem:

— No... ja zawsze w głębi duszy myślałam, że dziadziuś jednak nie jest taki zły.

Wyjeżdżali potem oboje rozpromienieni i uśmiechnięci, popłakiwała tylko Michalina:

— O, takiej panienki, to nie ma we wszystkich teatrach Warszawy, to prawdziwa gwiazda!...

Lulu napisała list do Tadeusza i zostawiła u stróżki, prosząc o wręczenie, jeśli zainteresowany przyjdzie.

I oto Luiza wróciła znów do domu, z którego niedawno z taką goryczą i żalem wyszła. Przytulona do dziadka siedziała na kanapie, opowiadając swoje przeżycia.

Staruszek był uszczęśliwiony. Miał znowu swoją rozkapryszoną pieszczochę, słuchał jej

wesołego dźwięcznego głosu i mógł patrzeć na śliczną dziecinną twarzyczkę... Po całym mieszkaniu roztaczały się melodie wyśpiewywanych przez nią piosenek... po wszystkich pokojach stukały leciutko obcasiki... i zakradł się odrobinkę nieład. W salonie na fortepianie stały stale jej pantofelki... (jakim cudem się tam dostały, nie wiadomo). W gabinecie dziadka na biurku leżał stos fotografii teatralnych... Służąca Anka ze wszystkich krzeseł zbierała części jej garderoby...

— Aneczko... to tylko na początku, póki się nie przyzwyczaję do porządku... Zresztą nie mam gdzie kłaść tego wszystkiego... u mnie leżało w koszach i walizkach, a tutaj z pokoju dziadziś kufry powyrzucał — tłumaczyła służącej.

Tymczasem pan Jarocki po naradzie z Tadeuszem, który uroczyście złożył wizytę i stał się codziennym gościem, postanowił na czas urlopu pojechać z Luizą do Zakopanego. Paniątka przyjęła wiadomość entuzjastycznie, ale pożegnanie z Tadeuszem było bardzo wzruszające. Rozpląkał się jak dziecko, ale młodzieniec ani słowem nie zdradził swoich co do niej zamiarów, prosił tylko, by często pisała i dbała o zdrowie.

Ale gdy zniknęły w falach mroku ostatnie światełka pociągu uwożącego Luizę, poczuł ogromną pustkę. Zaraz też wrócił do majątku i zabrał się z energią do pracy, chcąc zagłuszyć tęsknotę coraz bardziej zaciskającą wokół niego duszące kręgi. Nieraz, gdy szedł prędko przez pola, krok jego stawał się coraz wolniejszy, twarz przybierała smutny, zamyślony wyraz i Tadeusz zatrzymywał się w środku drogi, myśląc, co teraz robi jego mała słodka dziewczyna. Czasem miał wrażenie, że zaraz gdzieś zza krzewu lub drzewa wyjrzy ciemnozłota główka, czasem niemal wyraźnie słyszał pieszczotliwy i kapryśny głos Luizy. Im bardziej tęsknił, tym bardziej rozumiał ogrom swej miłości, doszedł do wniosku, że życie bez Lu nie przedstawia absolutnie wartości i szczęścia nie należy odkładać. Dlatego też któregoś wieczoru rzekł do matki:

— Mamusiu, chciałem już dawno powiedzieć, że mam zamiar się ożenić i to już niedługo!

— Bardzo dobrze, chciałabym nareszcie mieć wnuka, a z kim Tadziku, bo o ile wiem, nie czułeś nigdy zbyt sympatii do tutejszych pańienek.

— Z panną Jarocką. Jest sierotą. Poznałem ją w Warszawie.

— Aha! Nie znam tego nazwiska, ale czy ta pańienka cię kocha?

— Zdaje się, że bardzo, ja zaś uważam, że tylko z nią będę szczęśliwy.

— To najważniejsze. Chciałabym ją poznać

— Niedługo, mateczko, ale bądź dla niej dobra, bo to bardzo nieszczęśliwe i samotne dziecko,

— Nie kłopotz się, Tadziu, jeśli ty ją wybrałeś, musi być godna miłości i szacunku.

Ucałował ręce matki i poszedł pisać list do swojej małej. Wiedział, że sprawa tak, a nie inaczej się skończy. Znał matkę, która, kochając dzieci nad życie, ufała im głęboko i nigdy nie była natrętna lub niedelikatna. W zamian za to dzieci darzyły ją wielkim szacunkiem i poważną tkliwą miłością.

A Lulu z dziadkiem zamieszkała w ślicznej willi, którą od Jarockiego dzierżawiła pewna niezamożna wdowa. Willa owa znajdowała się już trochę dalej od samego miasta i Lulu mogła używać swobody, nie narażając się na uwagi ciekawych i natrętnych widzów spośród tak zwanego *eleganckiego świata*, którzy oczywiście znali warszawską *gwiazdkę*, jeżeli nie ze sceny, to z dzienników i widokówek. Lu całe dni teraz spędzała na spacerach, zachwycając się tak ustawicznie, że nawet bawiło to pana Piotra, który chcąc nie chcąc musiał za wnuczką wędrować. Z roztarganymi włosami i zaczerwienioną opaloną twarzyczką biegała jak koza po najgorszych wertepach w swej krótkiej szerokiej sukience, podobna do dziewczynki. Fikała koziołki na

puszystych miękkich halach, ku wielkiej radości pastuchów, skakała przez strumyki, zbierała pełne naręcza kwiatów, zaśmiecając nimi mieszkanie.

Staruszek przyglądał się wnuczce ze zdumieniem. Więc ten rozdokazywany, krzyczący z radości dzieciak, któremu imponowały nawet krowy i kozy, a słynna *boska Lu* to jedno? Absolutnie nie mógł z sobą pogodzić tych dwóch kontrastów. Czasem proponował:

— Luluś, może pójdziemy na kolację do restauracji?

— Za nic w świecie. Będę się tam dusić w sali, gdy tu na mnie czekają kwiaty i gwiazdy... elfy i krasnoludki... Już tak krótko będę korzystać z cudów przyrody...

Nieraz nawet podczas najgorszej ulewy biegła po dworze i wracała przemoczona do nitki, ale roześmiana. Każda kropla była dla niej jak pocałunek nieskończoności. Ponośli ją temperament i radość. Z rozkoszą wdychała woń mokrych chłodnych drzew... z obszarów łąk obsypanych drżącymi kroplami szedł ku niej jakiś przejmujący fluid, który w dygot wprawiał krew dziewczyny, zespalając ją z naturą w jedną bujną rozkoszną całość.

W tym okresie Lu nie mogła się zdobyć nawet na pisanie listów do Tadeusza i na jego wyrzut tłumaczyła się krótko;

Tadziuku! Wybacz mi, ale nie mogę pisać. Żadne pióro nie odda tego, co się teraz we mnie dzieje... Tak jakby ktoś złapał za nogi i ręce i za głowę i ciągnął każdą część w inną stronę. Chciałabym ciągle krzyczeć! Tak mi dobrze. Pierwszy raz w życiu widzę takie cuda... Tadziu... Tadziu... gdybyśmy tu byli razem. Kocham cię! Kocham bardzo, ale pisać teraz nie mogę.

Raz dała się namówić dziadkowi i poszła z nim na dancing. Chciał na własne oczy zobaczyć, jak Lu uwodzi mężczyzn. Usiedli przy stoliku. Gdy orkiestra zagrała charlestona z wściekłą werwą i pasją, zerwała się od stołu cała masa panien i panów, wygibując ciała w niemożliwy sposób, przyciskając się do siebie namiętnie i konwulsyjnie miotając nogami. Lu wykrzywiła usta pogardliwie.

— Patrz, dziadku, i to ma być taniec... Fe... co oni wyprawiają!

— Bo taniec cudaczny.

— E nie... trochę dziki... ale można wytrzymać... tylko oni szukają w tańcu „sposobności do miłości” i robią to szpetnie... Ech... gdybym tak miała partnera... o, słuchaj... ta melodia... tu jest radość... wesele... śmiech...

Grały jej oczy... rozchyliły się usteczka... chwiała głową w takt melodii i drżały jej nogi.

Do stolika podszedł elegancki młodzieniec.

— Pani pozwoli?

Spojrzała na dziadka i mrugnawszy doń filuternie, rzekła grzecznie:

— Owszem... czy pan dobrze tańczy?

— Mówią, że dobrze, ale dlaczego pani pyta?

— Bo ja robię to... bardzo niewprawnie — uśmiechnęła się, przechyliwszy główkę.

— Jakoś poradzimy sobie... proszę!

Jarocki cały zamienił się we wzrok... ale nie tylko Jarocki, Na tańczącą parę zaczęto zwracać ogólną uwagę. Lulu oczywiście spostrzegła to, ale nie zmieszała się zupełnie. Smukłe jej nogi prężnie i zwinnie wykonywały trudne pas... Nie trzęsała się jak galareta, nie przypierała piersiami do partnera, a jednak widać było, że tańczy całe jej ciało, każdy mięsień i nerw, że wabi zalotnie i kusi mężczyznę tą radością życia, co tryskała jej z oczu i uśmiechu.

— Dlaczego pani skłamała, że nie umie tańczyć?

— A co mi to szkodziło, ma pan większą niespodziankę...

Gdy skończyli, ogłuszył ich grzmot oklasków. Młodzieniec dumny, jakby tańczył z samą

angielską królową, odprowadził Luizę na miejsce i przedstawił się Jarockiemu. Ale wkoło panią stanął zaraz mur młodzieńców, prosząc o taniec. Nie odmówiła żadnemu, rozbawiła się i w dobry humor wprowadzały ją zachwycone miny.

Gdy jechała do domu rzekła z szelmowskim uśmiechem:

— Teraz dziadek już wie, jak mała Lu zawraca „głowizny”?

— Ano! Teraz już wiem!

Urlop się skończył i Lulu mimo smutku musiała wracać. Na dworcu warszawskim czekał Tadeusz. Wskoczywszy z pociągu biegła do niego uradowana z twarzą jak wiśnia. Żarnowski patrzył zdumiony, co się z bladej smutnookiej dziewczynki zrobiło, i serce zaczęło walić mu przyspieszonym tempem.

Gdyby nie tłum, porwałby w ramiona upragnioną istotę i zacałował na śmierć. Była śliczna jak nigdy, mocno wzruszona i trochę przez to nieśmiała. Wreszcie, przycisnąwszy obie rączki do ust, trzymał je tak chwilę, a potem wyszeptał:

— Jak ty się zmieniłaś Lulu, a gdzie dziadek?

— A coś tam z bagażem manipuluje, ja mam jechać naprzód i zarządzić w domu.

— To jedziemy razem!

— No oczywiście!

W aucie nie zamienili ani słowa, wpatrywali się tylko w siebie pełnymi radości oczyma. Dopiero w ciemnym korytarzu mieszkania, Lulu niespodziewanie objęła Żarnowskiego za szyję i przywarła doń całym ciałem. Przycisnął usta do gorących małych usteczek dziewczęcych.

— Ach ty... ty... pokuso...

Ale już była w pokoju.

— Idź sobie teraz, Tadek, muszę zmienić sukienkę i zrobić trochę porządku. Przy tobie nie mogę, chciałabym tylko ciągle całować... no... uciekaj!

— Dobrze! Przyjdę przed wieczorem... do widzenia, Lu!

I przyszedł. Jarocki przywitał go bardzo serdecznie i zostawił młodych sam na sam. Przytuleni do siebie zapomnieli o całym świecie, Lulu nawet przestała trąkotać. Siedzieli bez ruchu... od czasu do czasu szeptał i znów cisza!

— Dobrze ci ze mną, Lulu?

— O tak! Już teraz do niczego nie tęsknię... jestem spokojna, niczego nie pragnę. Kocham cię! Chciałabym, żeby wszystkim było tak dobrze!

Naraz pocałowała go w rękę.

— Co robisz, dzieciaku?!

— Nic, dziękuję ci za moje szczęście.

Gdy odchodził, zawisła mu na szyi i szeptała:

— Tak mi smutno zostawać samej, przyjdź znowu prędko...

— Przyjdę, malutka!

Ale tak rozkosznie żegnać miała go tylko trzy dni... musiała jechać z zespołem do Krynicy. Żarnowski jeszcze i teraz nic jej nie powiedział na do widzenia. A Lulu w Krynicy święciła niebywałe tryumfy. Dzienniki umieszczały jej fotografie, pewien cukiernik zaczął wyrabiać czekoladki *Lulu*. Kuracjusze nabywali widokówki z jej podobizną i teatr co dzień był wyprzedany. Dyrektor zacierał ręce i zbijał kasę, zupełnie jawnie durząc się w swej primabalerinie, ale ona mimo sławy, hołdów i uwielbień szalenie odczuwała brak Tadeusza i rzecz dziwna jednak, bo tęskniła doń całą duszą, a nie przeszkadzało to jej wcale kokietować innych. Miała świadomość, że tylko jeden jedyny Tadek jest jej ukochanym wymarzoną chłopcem, a przecież miała spustoszenie w otaczającej ją młodzieży bez litości. Nieraz w chwili rozmyślań pytała sama siebie; *czy nie zdradziłam w ten sposób Tadek, czy byłby zadowolony?* i

w rezultacie zawracała wypomadowane, rozwichrzone i łyse głowy w dalszym ciągu. Nie mogła inaczej... wrosło to jej w krew... a może nie mogła tylko na razie.

— Może spoważnieję, gdy zostanę mężatką — myślała na serio zrozpaczona, ale jakiś podświadomy głos szeptał jej: Nie, Lulu, ty już taka zostaniesz, bo jesteś przede wszystkim kobietą.

Pisywała teraz do Tadzia prawie co dzień długie listy, które on czytał po dziesięć razy, szczególnie jeden, który stale nosił przy sobie i często odczytywał:

Dziś po przedstawieniu poszliśmy całą paczką na spacer... oczywiście panowie bez przerwy prawili słodkie słówka... a w powietrzu była taka jakaś święta cisza, że profanacją wydało mi się to głupie brzęczenie ludzkie. Na wprost nas czerniła się góra pokryta lasem, zapatrzona w szeroką falującą płaszczyznę, usianą chłopskimi domkami. Z lewej strony pachniała łąka, z drugiej kołysał się łąn zboża... a tam nad las wypływał zza chmur sierp księżycy. O Boże! Jak było cudnie... i wśród tej potęgi my... nędzna paplająca grupka głuptasów. I pomyślałam sobie, jakby dobrze było w takiej chwili mieć obok siebie jednego ukochanego człowieka... Jakie by to było wspaniałe! Gdy te przestrzenie, błogosławione ręką ciszy, szepczą wieczorny pacierz, jakby cudnie dołączyła się modlitwa rozkochanych w sobie serc!... Największa, najpiękniejsza pieśń świata. I cieszę się, i dziękuję Bogu, że ty jesteś moim ukochanym... Ty. Taki dobry i mądry.

Lulu pisywała także i do dziadka, który w tych czasach miał wiele przykrości ze strony krewnych... Bezpośrednim powodem była Luiza. Rodzina nie mogła strawić, że Jarocki nadal opiekuje się wnuczką. Ale teraz bezskuteczne były wszelkie perswazje i intrygi, zbyt gorąco pokochał swoją małą, miłą pieszczochę a zresztą był związany słowem danym Żarnowskiemu. I kiedy Lu wróciła z Krynicy, przyjął ją serdecznie, a w najtajniejszych głębiach duszy dumny był z powodzenia wnuczki. Niemniej radośnie witała Luizę publiczność.

Wreszcie któregoś wieczoru, Żarnowski odwiózł panienkę do domu i został na kolacji. Gdy znaleźli się dzięki dyskrecji pana Piotra sami, Tadeusz przycisnął jej główkę do piersi i rzekł:

— Lulu, jakby to dobrze było zostać z tobą... co? Chciałabyś?

— Oj, tak... ile razy odprowadzam cię do drzwi, odczuwam szalony smutek, wolałabym, żebyś nie odchodził.

— Nie nudziłabyś się ze mną?

— Ach nigdy... nigdy!

— Nawet całe życie?

— Całe życie — szepnęła.

— Bo widzisz, myślę! że najwyższy czas wyznaczyć dzień ślubu.

Przestała na chwilę oddychać i zamknęła oczy.

— No Lulu, malutka moja, prawda? — spytał, całując jej oczy. Spójrz na mnie, uśmiechnij się.

— Ja pewno umrę ze szczęścia... Tadzium... Tadzium... tak marzyłam o tym... Będziemy najszczęśliwsi z ludzi.

— Przynajmniej będę się o to starał dla ciebie. No, jak myślisz, bo ja mam ochotę jak najprędzej zabrać swoją małą.

Wsunęła głowę pod ramię mężczyzny i wykrztusiła:

— Ja też chcę prędko, ale nie wiem kiedy... zrób co chcesz!

— W takim razie za dwa tygodnie, dobrze?

Ale Lu położyła główkę na kolanach Żarnowskiego i cicho płakała...

Zaraz na drugi dzień od samego rana zaczęła gorączkowo przeglądać swoją garderobę, musiała przecież przyszykować *wyprawę*. Pamięta, jak rozmawiały o tym Haneczka i Dzidzia, którym ciotka gromadziła do kufrów z pobożnym zachwytem stopy batystów, koronek i haftów. Ona musiała niemal co dzień cerować i łątać swoje mizerne koszuliny.

Już o dziesiątej wpadła jak bomba do swojej krawcowej, wołając od progu:

— Pani Stasiu, wychodzę za mąż... proszę mi uszyć *wyprawę*!

— Jezus Maria... kiedy... za kogo?

— Za ślicznego chłopca i za dwa tygodnie!

— Co? Przez dwa tygodnie mam wszystko uszyć. Panno Luizo, dlaczego mi pani tak późno o tym powiedziała, przecież to moc roboty.

— Dopiero wczoraj się dowiedziałam. Niech pani sobie weźmie kogo do pomocy. Ja nawet nie wiem dobrze, co w takiej *wyprawie* musi być.

Pocziwa kobiecina rozśmieszona długo wykladała Luizie teorię *wyprawy*, wreszcie obiecała wybrać się z nią po zakupy.

— Ależ ja nie mam czasu... za cztery dni nowa rewia... niech mi pani przyśle jutro kostium... To moje ostatnie występy.

— Cooo?... Dlaczego?!

— Przecież jak zostanę mężatką, nie będę miała czasu na takie głupstwa... Pani Stasiu! proszę nie robić grobowej miny, a raczej wieszować mi szczęścia i jechać po te tam opale i nansuki⁽²⁾, ja lecę na próbę, a potem mam randkę... Do widzenia... do widzenia, wygrałam główny los na loterii życia... hip... hip... hurra! — machała kapelusikiem, stojąc w progu. — Jutro przyjdę!

Wsiadłszy do auta, pojechała prosto do dyrektora.

— Serwus, dyrektorku! Mam bardzo ważną sprawę do zakomunikowania... proszę usiąść na fotelu tutaj... o tak, żeby się pan nie mógł ruszyć... zaraz podam wody... fe nieswieża, no, ale trudno... przycisk na bok, jak najdalej od ręki!

— Ach Lulu... pani jest skończony urwisiak!

— Wiem... a teraz proszę słuchać — wyprostowała się godnie. — Z bólem serca komunikuję szanownemu panu dyrektorowi, że ponieważ mój kontrakt wygasa z dniem 20 października, a mój ślub jest osiemnastego, przeto proszę o darowanie mi tych dwóch dni i błogosławieństwo na drogę, gdyż postanowiłam scenę pożegnać.

Dyrektor zaniemówił. Chwilę patrzył na Luizę, przelitykając ślinę, wreszcie rzekł niepewnie:

— Pani żartuje, panno Lu — i wypił wodę.

— Słowo honoru mówię prawdę... niech się pan nie marszczy... no! Bo ja okropnie tego nie lubię... Ja czasem wpadnę na gościnne występy... panie dyrektorze!

Ale dyrektor patrzył tępym wzrokiem w promieniejącą twarzyczkę ulubionej artystki,

— Co pani *wyprawia*... Lulu... życie sobie łamiesz!

— Raz kozie śmierć, dyrektorku, zwłaszcza gdy ta śmierć jest takim wielkim szczęściem. Ja już teraz wiem, że jestem komuś potrzebna, mam cel w życiu, mam o kim myśleć... Ach, niech mi pan nie psuje nastroju... doprawdy będzie mi smutno. Znajdzie pan sto lepszych tancerek ode mnie.

Po chwili milczenia odsunął się z fotelem od biurka i podszedł do Luizy.

— Lulu — rzekł, podnosząc jej ręce do ust — tracąc panią, tracę nie tylko najlepszą siłę, byłaś tu czymś więcej... Nie pamiętam przy pani ani jednej ordynarnej sprzeczki ni sceny. Jest mi bardzo, bardzo przykro, zwłaszcza że... no, głupstwo. Proszę przyjąć najserdeczniejsze

życzenia... A któż jest tym wybranym szczęśliwcem?

— Pan Tadeusz Żarnowski!

— Bogaty?... Jakie ma stanowisko?

— Nic nie wiem, bo co mnie to obchodzi. Jest dobry, mądry i śliczny i kocham go!

— Ach, Lu... kiedy ty spowaźniejesz, dzieciaku. Swoją drogą trudno mi się z tym faktem pogodzić, że panią tracimy!

A Lulu niespodzianie objęła go za szyję i pocałowała w policzek, potem odskoczywszy na środek pokoju, zawołała:

— Na pociechę! Ale chyba to nie grzech, prawda? Zupełnie jakbym pocałowała tatusia.

Śmiał się do łez, rozbawiło go porównanie. Miał wszak dopiero czterdzieści lat i wielkie powodzenie u kobiet.

— No, a teraz idę. Na próbie będę punktualnie... Do widzenia! — i wybiegła, zostawiając dyrektora mocno przygnębionego. Teraz śpieszyła do dziadka na obiad... Miał przyjść i Tadeusz. Po drodze kupiła kwiatów. Jakież było jej zdumienie, gdy w jadalni zastała dwie kuzynki: Marysię i Ziutkę. Kiwnęła im uprzejmie głową, ale oddawszy jak z łaski ukłon, powstały sztywne i wrogie, wobec tego Lu przestała zupełnie zwracać na nie uwagę.

— Gdzie dziadek, Aniu?

— Poszedł kupić wina, panienko, zaraz przyjdzie.

Pośpiewując i charlestonując od niechcenia, ubierała stół kwiatami, wreszcie poszła się przebrać. W pewnej chwili usłyszała dzwonek i śpiesznie zaczęła czesać potargane kędziory.

Żarnowski wszedł do jadalni. Służąca oświadczyła, że *panienka będzie w tej chwili gotowa*, ale ponieważ ta chwila troszkę się przeciągała, musiał przedstawić się obu paniom, ale choć zrobił bardzo korzystne wrażenie, rozmawiały półgębkiem... Wreszcie nadeszła Luiza w eleganckiej toalecie, swobodna i wesoła... Tadeusz ucałował obie jej ręce... a Ziutka, zmrużywszy arystokratycznie, oczy wycedziła z godnością:

— Może pani raczy zawiadomić dziadka o naszej wizycie i prosić go by pofatygował się do nas. Mamy do załatwienia poważny interes.

— Niech panie chwileczkę zaczekają, dziaduś zaraz przyjdzie, ale wątpię, czy znajdzie czas na chodzenie gdziekolwiek... będzie miał teraz moc zajęcia, bo wydaje mnie za mąż i pomaga szykować wyprawę...

— Ach, tak... No... dla najbliższej rodziny znajdzie chwilę czasu...

W tej chwili wszedł Jarocki.

— Jak się macie dzieciaki... Marysiu, Ziutko zostanieie oczywiście na obiedzie, bo dziś u nas wielka uroczystość... Tadziu! Wino... palce lizać...

— Bardzo dziadkowi dziękujemy... tylko ważny interes przywiódł nas tutaj, czy możemy z dziadkiem pomówić bez świadków?

— Proszę do gabinetu... Lulu, Tadziu... chwileczkę.

Marysia, patrząc ironicznie na zaaferowanego starca, zauważyła:

— Widzę, że sprytna aktoreczka umiała się dobrać do dziadka serca i kieszeni.

— Nie bądź złośliwa, duszko... No, o co chodzi?

— Mamusia kazała zapytać, czy to prawda, że dziadek sprzedał swą willę w Zakopanem?

— Prawda! Ale czyż nie wolno mi rozporządzać swoją własnością?

— Można, naturalnie — wtrąciła Ziutka. — Chodziło nam tylko o stwierdzenie faktu. W każdym razie dziadek nie bardzo ładnie postąpił, ciocia Hanka przecież prosiła, by dziadek wydzierżawił jej ten dom na pensjonat.

— Moje dziecko nie mogłem przecież od razu wymawiać dzierżawy tamtej biednej wdowie, która tylko z tego żyła... Nawet, sprzedając, zastrzegłem sobie, by jej pozostawiono

dzierżawę nadal... Sprzedałem zaś dlatego, że potrzebowałem pieniędzy na kupno innego domu.

— No, głupstwo... oświadczę to mamusi. Tymczasem do widzenia.

— Zostaniecie na obiedzie, będzie mi bardzo przyjemnie.

— Trudno dziadku, my nie znajdujemy przyjemności w towarzystwie awanturnicy... Do widzenia.

Wyszły z zadartymi nosami, nie hamując złości.

Zbity z tropu Jarocki wrócił do jadalni, ale widok młodych od razu poprawił mu humor.

— Oho, widzę, że te ksantypy⁽³⁾ znowu dziadka ukłuły... i to przeze mnie... ale *grunt się nie przejmować, kochać i całować*... — zaśpiewała, objąwszy w pół Jarockiego, gdy nagle ucichła i opuściła ręce, zauważywszy stojącego w progu Włodzimierza. Ten przywitał się serdecznie z panem Piotrem i schylił się w głębokim ukłonie przed Luizą. Podała mu rękę, którą podniósł do ust w milczeniu. Jarocki przedstawił mu Tadeusza i usiedli do stołu.

Lulu na razie trochę zmieszana, prędko odzyskała równowagę, była swobodna i wesoła. Włodzimierz, patrząc na nią, z żalem myślał, że dobrowolnie utracił skarb jej zaufania, a może i miłości. Znalazła wreszcie godniejszego i oddała mu swoje gorące, prawe serce.

Po obiedzie podszedł do niej i ucałowawszy obie ręce dziewczyny rzekł półgłosem:

— Lulu droga, przyjmij moje życzenia i przebac mi...

— Nie gniewam się na ciebie, pamiętam zawsze tylko to, żeś był dla mnie dobry i wskazałeś niebezpieczeństwo, za co dziękuję całym sercem.

Wkrótce pożegnał się i wyszedł. Zbyt dotkliwy ból sprawiał mu widok ukochanej istoty, straconej bezpowrotnie.

A przyszli państwo Żarnowscy siedzieli w pokoiku Luizy.

— Tak? — udał zdziwionego — to moja Lu nie chce być nadal gwiazdą?

— Po co? Miłość do ciebie wypełnia mi życie zupełnie, w dodatku będę miała córeczkę...

Chciałabym jej dać wszystko to, czego mnie brakowało. Ach! To będzie najszczęśliwsza dziewczyna pod słońcem.

— A ty najśladza i najcudniejsza mamusia... moja... kochana... upragniona...

Wybiła czwarta. Lu westchnęła żałośnie:

— Muszę iść na próbę... Oj, jak prędko czas mi upłynął, odprowadzisz mnie, prawda?

Za chwilę paradował dumnie, prowadząc pod rękę swą małą.

Reżyser przyjął primabalerinę grobową miną.

— Co się panu stało?

— Mnie?... Nic! Ubolewam nad chorobą pani!

— Ależ ja jestem zdrowiuteńka!

— Na ciele może, ale na umyśle nie. Więcej nic nie powiem... Proszę zająć pozycję...

Psiakrew, pierwsza lepsza armata z pudowymi nogami siedzi na karku człowiekowi aż do skutku, a jak się znajdzie coś porządnego, to fiut... i już!

Lulu śmiała się po cichutku, ale usiłowała robić minkę poważną i tańczyła, jak mogła najlepiej, mimo to, nie zdołała udobruchać baletmistrza.

Nastąpił wreszcie wieczór premiery. Lu postanowiła zapisać się w sercach i pamięci publiczności złotymi literami... w dodatku w krzesłach widziała dziadka, Tadeusza i Włodka. Każdy jej gest był pieśnią bez słów... najśladzą bezgłośną melodią giętkich zwrotów, bezszelestnych poruszeń... Szalony wir smukłych nóżek, kreślących zagadkowe figury, niby kabalistyczne formuły nakazujące widzom zachwyty i uwielbienie.

A potem kwiaty... kwiaty... i zbity tłum za kulisami. W antrakcie przed kurtynę wyszedł dyrektor:

— Szanowna publiczności, ze smutkiem oznajmiam, że dzisiejsza premiera jest ostatnią

rewią z panną Lulu Jarocką, która opuszcza nasz teatr, wobec czego zapraszam szanownych państwa na pożegnalne uroczyste przedstawienie dnia 16 października, które jednocześnie będzie benefisem naszej uroczej gwiazdy.

Po tym przemówieniu zapanowała cisza, tylko po to, by za chwilę uciekać jak najdalej z teatryku, w którym trzęsły się wszystkie lampy i ozdoby na ścianach

Nazajutrz dzienniki zamieściły sensacyjną wiadomość, że *młodziutka primabalerina opuszcza scenę i wstępuje w związek małżeński*, a także zapowiedź pożegnalnego przedstawienia.

Lulu przez następujące dni wpadła w wir szalonych, pośpiesznych czynności. Wizyty u krawcowej, latanina po sklepach, próby i przedstawienia, na których teatr był dosłownie nabity, poprawianie i odświeżanie kostiumów, spotkania z Tadeuszem barwnym kalejdoskopem przesuwały się w rozgorączkowanej świadomości artystki, była jak w półśnie.

Któregoś poobiedzia Żarnowski przyniósł obrączki i chcąc zobaczyć czy dobre, wsunął na drżący paluszek narzeczonej obrączkę dla niej przeznaczoną.

Luiza zbladła bardzo i odetchnęła głęboko.

— Nie za duża, Lulu?

— Nie! spojrzysz... akurat!

— To zostaw ją już na paluszku, nie masz pierścionka zaręczynowego.

— Nie, nie chcę, żeby wycierała się w tyłu męskich rękach, każdego wieczoru ściskających moją dłoń. Dla mnie ta obrączka to talizman, symbol szczęścia i spokoju.

— Jak ty mądrze i ślicznie powiedziałaś, kochana... Masz rację!

Matka Żarnowskiego czyniła też wielkie przygotowania na przyjęcie nieznannej synowej. Słyszając z ust Tadeusza o smutnym dzieciństwie Luizy, chciała okazać jej jak najwięcej serca i zastąpić matkę, choć nawet nie wiedziała, czym jest owa *ukochana Lu* syna. Póki młodzi nie zagospodarują się, mieli mieszkać u matki, ale i nie tylko ten wzgląd kazał Tadeuszowi prosić matkę o gościnę. Chciał, by Lulu miała choć na początku tkliwą i serdeczną opiekę... by na małą główkę nie zwałił się od razu ciężar obowiązków i zajęć z prowadzeniem gospodarstwa związanych. Dlatego też remontowano na gwałt trzy pokoje na piętunku. Siostry Tadeusza cieszyły się, że będą miały bratową i ustawiły moc drobiazgów, czyniących pokoje miłymi, zacisznymi kącikami.

Nadszedł wreszcie 16 października. Cała rodzina Żarnowskich na prośbę Tadeusza zjechała do Warszawy, by poznać przyszłą jego żonę. Spotkanie miało nastąpić w teatryku. Pani Żarnowska zdziwiła się trochę temu terenowi, ale *Tadzio chyba wie, co robi* myślała. Dlatego też o pół do dziewiątej wszyscy siedzieli w teatryku. Panny Żarnowskie były już raz tutaj z bratem, ale dziś zaobserwowały wyjątkowo podniecony nastrój. Prawie wszyscy mieli kwiaty i szeptali gorączkowo, ustawicznie patrząc w stronę kurtyny, co była jak tajemniczy ciemny dom, w którego głębi dzieją się rzeczy dziwne, a za chwilę miały się owe cuda odsłonić oczom widzów.

Dzwonek przenikliwy jeden, drugi... trzeci. Rozsunęły się aksamitne draperie, scena jednak pogrążona była w ciemności. A wtedy gdzieś, jakby z dalekiej głębi, zamigotało światełko i zaszemrały pierwsze tony orkiestry, wznagając się aż do głośnego wybuchu ślicznej melodii. Świetlny punkt przybrał ludzki kształt. Na tle mroków odcięła się ostro lśniąca sylwetka Lulu – błędnego ognika wodzącego na manowce. Nie odezwał się nikt głośniejszy... nikt nie klasnął, by nie popsuć nastroju. A błędny ogień zakreślał cudowne łuki i spirale... gasnął przy ziemi i znów jaśniał pełnią urocznego blasku... aż znów maleć zaczął... ginąc w dali... i znów ciemność. Cisza trwała jednak nieprzerwanie, aż buchnął snop seledynowego światła i na tle pełnej żywych ludzkich kwiatów łąki zawirowała różowa precudna łątka... Zdawało się istotnie, że Lulu nie tańczy, ale fruwa...

I znów ciemność... kurtyna jednak odsłonięta, by nie przerywać ciągłości, i znów mała Lu

jako cudna markiza z jednej z poprzednich rewii, otoczona kołem giętkich fircyków śpiewających:

*Posłuchaj nasza mała Pompadour⁽⁴⁾
Co dla ciebie śpiewa zakochany chór:
Nasza mała Pompadour, nie jest taka mała,
Tylko ma dziewczynki wdzięk i dziewczynki minki,
Z szarych słodkich oczu jej patrzy wiosna cała.
Diablik-uśmiech, diablik-czar zerka spod czupryni.
Naszą małą Pompadour wielbi huf poddańczy,
Bo jak kotka słodka jest i jak kotka zradna.
Nienawidzi... kocha znów i po sercach tańczy...
Nasza mała ma to coś, czego nie ma żadna...*

Po chwilowej przerwie, w której czasie grała orkiestra, Lulu zjawiała się jako pamiętna wiosna i wreszcie czarodziejka. Reżyser umyślnie w łańcuch splótł najpiękniejsze wyjątki tanecznych baśni, by na tym tle wyryć Lu w pamięci widzów. Wreszcie kurtyna zasunęła się na moment... na moment tylko, bo już oczom widzów na scenie ukazał się dyrektor w otoczeniu całego zespołu. Dyrektor zaczął:

— Panno Luizo albo lepiej droga nasza mała Lu! Wobec wszystkich tu zebranych cały zespół teatru żegna Cię uroczyście i na nową drogę życia składa najserdeczniejsze... najserdeczniejsze, podkreślam, życzenia. Pójdzie za panią szczery żal, ale wspomnienie pozostanie zawsze... wspomnienie naszej kochanej, słodkiej Lu!

Podszedł i ucałował jej ręce, a jednocześnie chłopak przysunął olbrzymi kosz kwiatów.

— Niech żyje! — ryknął cały zespół. W tej chwili orkiestra zaczęła: *Sto lat... sto lat...* i piosenkę podjęła zgodnym chórem cała widownia, po czym zapanował niesłychany tumult. Na stojącą na przodzie sceny bladą jak opłatek dziewczynę spadł grad wonnego kwiecica... zaczęto stawiać jedno za drugimi kosze, tak że po chwili scena wyglądała jak ogród.

— Widzi mamusia jak żegnają moją Lulu? — szepnął Tadeusz.

— Bardzo miłe dziewczątko, domyśliłam się, że to ona, jak tylko dyrektor zaczął mówić. A *dziewczątka* stało oszołomione i wzruszone. Wreszcie podniosła rękę. Uciszyło się.

— Bardzo, bardzo państwu dziękuję za niezasłużoną owację, nigdy nie marzyłam, że spotka mnie dowód takiej sympatii. Ja nie umiem pięknie mówić, ale proszę mi wierzyć, że jestem naprawdę głęboko wzruszona, a ponieważ chcę podziękować, jak umiem najładniej, więc na zakończenie zatańczę jeszcze. Tymczasem wszystkich mocno całuję... na chwilę przepraszam...

Mimo bezustannych krzyków Lulu zniknęła. Miejsce jej zajął ulubiony kuplecista, który wszedł na scenę z gitarą i zaczął:

*Odchodzisz, Lu,
Maleńka Lu,
A gdzie ci lepiej będzie?
Oj, nie wierz snom,
Bo złudne są.
Życie jednakie wszędzie.
Żegnaj nam Lu,
Maleńka Lu,*

*Dziś twoja gwiazda świeci,
Próżno wśród nas
Serc miałaś las,
Ty wolisz niańczyć dzieci.
Ach, słodka Lu,
Uroczą Lu,
Zgodzę się z groźnym musem,
Na drogę sam
Krzyżyk ci dam,
Lecz pociesz mnie całusem!*

Piosenka podobała się bardzo... nastąpiły dalsze numery, a Lulu w swojej garderobie przyjmowała jeszcze wielbicieli pragnących się z nią pożegnać.

— Ach, panowie... po przedstawieniu... dajcie mi chwilę czasu na zmianę kostiumu... O, dzwonek... uciekajcie... ja zaraz tam przyjdę.

Rząd fraków zniknął momentalnie, ale był to fałszywy alarm, specjalnie zainscenizowany przez garderobianą, która stała z kostiumem, jak mumia... ale Lu nie ruszała się od progu. Utkwiła oczy z przerażeniem w stojącego w pewnej odległości mężczyznę, trzymającego pęk białych lilii. Instynktownie zasłoniła się rękami, ale usłyszawszy cichy, drżący głos, opuściła je i oparła się o framugę drzwi.

— Nie bój się, Lulu, nie zrobię ci krzywdy... Wszak byłaś moją maleńką, jedyną dziewczynką. Przyszedłem zobaczyć się jeszcze raz... ostatni. Nie spotkamy się już nigdy... zbyt daleko jadę zapomnieć o swym bólu. Przebacz mi wszystko zło, które ci wyrządziłem, opętany przez szaleńców... Podaj mi rękę Lu, ty idziesz w słońce, ja w ciemność. Będiesz szczęśliwa... Mnie złamała własna głupota... Lu... moja słodka, maleńka Lu... taką cię, jak w tej chwili właśnie, poznałem... taką żegnam... O, Lulu... moja jedyna, prawdziwa miłości! No, podaj mi rączkę... nie bój się — rzekł z jakimś głuchym, rozpaczliwym jękiem.

Wyciągnęła obie drżące ręce... Berger przyklęknął i całował je długo i gorąco, a Lulu, nie wiedząc sama co robi, dotknęła ustami pochylonego czoła... Kazik położył u jej stóp lilie i wyszedł tak, jak człowiek, który absolutnie nie zna drogi.

Dziewczyna chwilę patrzyła nieruchomym wzrokiem na kwiaty, a podniósłszy je, wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Na alarm garderobianej zbiegły się aktorki, przyleciał sam dyrektor... Lulu leżała na kozetce i łkała nieprzerwanie.

Wśród oczekującej zbyt długo publiczności zapanował niepokój. Tadeusz pobiegł za kulisy.

— Co się tu stało?... Gdzie panna Luiza?

— Panienska dostała spazmów — objaśniła garderobiana.

Wbiegł do pokoiku.

— Lulu... jak można... zachorujesz... uspokój się, kochana... Będiesz tańczyć ilekroć zechcesz... Lulu...

— Nie... ja nie o to... powiem ci później... No! Już was nie ma... gdzie mój kostium?

— Ależ nie możesz w takim stanie tańczyć, Lu — tłumaczył dyrektor.

— Właśnie, że będę — tupnęła nogą. — Zostawcie mnie samą... Gdzie mój puder?

Tadziu, idź do sali.

Wyszedł zaniepokojony, a przed garderobą tancerki stał dyrektor, reżyser i grupka aktorek i aktorów roztrzęsających gorączkowo zachowanie się Luizy.

Wreszcie zgasły światła na sali... zagrała orkiestra i zaraz na scenę wpłynęła Lulu, śledząc pilnie oczyma publiczność. Wreszcie dostrzegła bladą, wynędzniałą twarz Bergera. Uśmiechnęła się do niego smutnym, słodkim uśmiechem i skinęła trzymanym w rękę woalem. Potem już ani razu nie podniosła tam oczu, woal tylko chwilę został w powietrzu, jak dymek... potem zaś przytulił się szczelnie do postaci tancerki.

Berger ruszył ku wyjściu, tu zaczepiono go przy stoliku, proponując nabycie widokówek z fotografią Luizy... Kupił trzy i drewnianą figurkę przedstawiającą ulubioną tancerkę... Potem zaś skierował się prosto na dworzec.

Jeszcze tego wieczoru jechał sleepingiem do Paryża. Jedna karta życia zamknęła się, zostawiając w duszy bolesną bliznę. Kazik był przekonany, że przyszłość nie przyniesie mu już nic... Przepalił go ból i zawód... Na razie chciał jednak choć trochę oderwać myśl od gryzących wspomnień i pamiątek... Pociąg pędził w ciemność błyskającą gdzieś ognikami latarń, a Berger siedział rozłożywszy przed sobą na stoliku fotografię Luizy... Po twarzy płynęły dwie łzy.

Lulu tymczasem na hucznym bankiecie rozdawała ostatnie uśmiechy i spojrzenia, żegnając błyskotliwe, gorączkowe życie... O szóstej rano na rękach zniesiono ją do samochodu... i dyrektor odwiózł pupilkę do domu.

* * *

Nadszedł poranek 18 października. Lulu jeszcze spała smacznie, gdy służąca wstawiła jej do pokoju mniejsze i większe wiązanki. Lulu wyskoczyła z łóżka, by przejrzeć bileciki. Nie zapomniał o niej gruby fabrykant, który przysłał olbrzymie pudło czekolady... dostała wiązankę i gorący sonet od anemicznego literata... ba, nawet krawcowa przysłała jej bukiet. Ale Lu nie miała dużo czasu na roztkliwianie się, gdyż w jadalni usłyszała głos Tadeusza, narzuciła więc prędko szlafroczek i wybiegła nieuczesana nawet.

— Ach, ty śpiochu obrzydliwy... Co?... włosy nieruszone?... i to ma być za parę godzin poważna mężatka... Ubierz się, kochanie, pojedziemy do hotelu, gdzie stoją rodzice, zjemy razem śniadanie.

— A dziadek?

— Ma jakąś ważną sprawę... wyjechał autem, wróci dopiero po obiedzie.

— No, mógł te wszystkie „ważne sprawy” odłożyć na kiedy indziej, niedobry dziadek.

Ale „niedobry” dziadek szykował wnuczce niespodziankę i załatwiał wspólnie ze starym Żarnowskim ostatnie formalności związane z kupnem eleganckiej willi z ogrodem w pobliżu majątku Żarnowskich. Lulu nie wiedziała i tego, że pan Piotr już tydzień temu złożył wizytę rodzicom Tadeusza. Chciał się dowiedzieć od nich, gdzie może w okolicy nabyć jakiśkolwiek dom, który by był odpowiednim pomieszczeniem dla młodej pary. W rezultacie udało się obu panom znaleźć elegancką piętrową willę z ogrodem i tę Jarocki kupił.

Stara pani Żarnowska niecierpliwie oczekiwała synowej. Śniadanie kazała przygotować u siebie, nie chcąc schodzić do ogólnej sali, gdzie było dużo osób. Mimo wszystko uczuwała lekki niepokój, bądź co bądź Lulu jest przecież znaną artystką i może być, nieświadomie nawet, wymagającą i zepsutą powodzeniem. Toteż gdy Żarnowska usłyszała kroki na korytarzu i głos Tadeusza, przybladła, ale otworzyła drzwi i stanęła w progu. Naprzeciw szła młodzianka, krótko ubrana dziewczynka, buzię jej krasał mocny rumieniec. Tadeusz z powagą prowadził narzeczoną do matki, która, wyciągnąwszy ręce do bardzo zmieszanej Luizy, rzekła:

— Ależ to jeszcze dziecko, Tadziu... Z daleka wydałaś mi się, córuchno, poważniejsza.

Ucałowała serdecznie synową i objąwszy, prowadziła do pokoju, gdzie zebrana była cała

rodzina. Brakowało tylko Żarnowskiego-ojca.

— No, dzieci... oto wasza najmłodsza siostra, myślę, że będzie jej wśród nas dobrze....

Cztery pary oczu uśmiechnęły się serdecznie do nieśmiałej i zależnionej teraz gwiazdy. Chłopcy z zabójczą galanterią obcałowywali rączki przyszłej bratowej, prawiając jej tysiąc komplementów. Panny Żarnowskie, Stefa i Natalia, znacznie od Luizy starsze, miłe i dzielne panny, usiłowały ośmielić bardzo widocznie zmieszaną dziewczynę. Zapanował miły, serdeczny nastrój, Lu odzyskała przytomność i swobodę, że jednak nie mogła opanować roztargnienia, świadczyło najlepiej, gdy podała Natalii zamiast cukru parmezan, a sobie bułkę posmarowała musztardą. Wywołało to wielki śmiech i wielkie rumieńce na twarzy Luizy.

— Nie przejmuj się dziecko, ja w dniu ślubu byłabym pojechała do kościoła w jednej pończosze białej, a drugiej w paski — pocieszała zawstydzoną Lulu Żarnowska.

Ale dziewczyna coraz bardziej traciła przytomność. Chwilami mrugała mocno i przypatrywała się uważnie otaczającym, jakby nie wierząc, że to rzeczywistość, bo istotnie nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Tadeusz po śniadaniu podszedł do matki:

— Mamusiu, proszę bardzo uspokoić Lulu, jest bardzo zdenerwowana.

Ale matrona sama nie wiedziała co robić. Usiadła przy Luizie i wzięła ją za rękę.

— No, Laleczko, bo tak będę cię nazywać, gdyż przypominasz mi taką małą figurynkę z porcelany... myślę, że teraz pójdziemy trochę na spacer.

— Pani jest bardzo dobra... Ja nie wiem, co mam myśleć i boję się, by mnie znów co przykrego nie spotkało... Mam wrażenie, że za chwilę wszystko pryśnie mi sprzed oczu jak bańka.

— Czy Tadziowi ufasz?

— O, tak!

— No więc jak możesz wątpić w szczerłość kobiety, która jest jego matką? Włóż płaszczyk i pójdziemy na spacer. To ci dobrze zrobi.

I wreszcie nadeszła szósta godzina. Przed domem czekała karetka, w głębi salonu, na stołeczku przed lustrem stała Lulu cała w śnieżnych tumanach gazy i koronek. Długi tren leżał na podłodze jak dywan z jaśminowych płatków. Z obłoków welonu wycinała się smukła, doskonale obciśnięta białym jedwabiem sylwetka.

Pan Jarocki i cała rodzina Żarnowskich przypatrywali się z pewnego oddalenia pełni zachwytu i bardzo wzruszeni.

Podszedł Tadeusz.

— No, już Lulu... czas jechać — wyszeptał.

Ostrożnie zeszyła ze stołka, biorąc zgrabnie tren na rękę... Wyszli.

Ślub znanej i lubianej tancerki był niemalą atrakcją dla szerokich kół publiczności, która tak zapchała kościół, że literalnie palca nie było gdzie wetknąć... W komplecie stanęła brać aktorska, moc studentów i korporantów.

Na chórze zajęła miejsce orkiestra i zespół śpiewaczy teatryku.

Przed kościołem stało kilku operatorów filmowych. Jeden z tych natrętów nawet w samym kościele zdołał znaleźć sobie odpowiednie miejsce. Wreszcie zaturkotała karetka, zjawili się młodzi i orkiestra z chórem dała znać, że ceremonia zaczęta.

Dziwni są jednak ludzie, którzy w takich chwilach z całym napięciem i skupieniem obserwują toaletę panny młodej, biorąc pod uwagę każdą fałdeczkę i zakładkę... a także wyraz twarzy... w chwili gdy Bóg naznacza dwie ludzkie dusze stygmatem nierozzerwalności i błogosławi im, zamykając jednocześnie jedną kartę życia jak żelazne, nieprzebyte wrota, za którymi zniknęła przeszłość.

I doprawdy mało było osób, które by w owym, skrzącym się światłami kościele pomodlili się serdecznie za stojącą przed ołtarzem dziewczynę... Choćby tylko za nią. Dla mężczyzny bowiem małżeństwo nie jest takim wstrząsem jak dla kobiety, która w owej chwili przestępuje próg nieznaną a tajemniczą krainę, skąd wyjścia już nie ma.

I tylko koleżanki Luizy, wesołe trzepotliwe aktoreczki oczami pełnymi łez wpatrywały się w ołtarz i karminowanymi ustami szeptały serdeczne zdrowaśki za szczęście dobrej i słodkiej kobiety, od której doznały tyle życzliwości i serca. Szczególnie Alma była wzruszona i zawzięcie chlipała nosem, myśląc, że nowa *klępa primabalerina* na pewno jej nie poratuje wobec reżysera.

⁽¹⁾ rolwaga – wóz do przewożenia ciężkich towarów; platforma.

⁽²⁾ opale i nansuki – tu: cienkie tkaniny bawełniane podobne do batystu.

⁽³⁾ ksantypa – jędza; kłótniwa baba. (Od imienia żony Sokratesa, filozofa greckiego.)

⁽⁴⁾ Madame de Pompadour (1721-1764) – markiza, metresa króla Francji Ludwika XV.

ROZDZIAŁ VIII

Zaraz nazajutrz po ślubie, który zakończył się wspaniałym przyjęciem w hotelu, młodzi pojechali do rodziców. Towarzyszył im dziadek serdecznie przez starego Żarnowskiego zapraszany. Lulu była bardzo zmęczona. Wyczerpały ją wzruszenia i wreszcie ta nieunikniona weselna uczta, na której było moc osób, a przede wszystkim wszystkie koleżanki Luizy.

Lulu jechała powozem przytulona do Tadeusza i cicha jak myszka. Konie skrzyły w długą pozłocistą w słońcu aleję. Liście spadały wolno, nieprzerwanie ścieląc pod końskie kopyta barwny, ale jednotonny kobierzec. Stary dwór, na górze położony, miał wygląd średniowiecznego zamczyska i już z oddali lśnił potężny, nad zwartą masą gałęzi spoza ciemnoszarego muru wyglądających. Rzadko kiedy otwierała się główna brama do wnętrza wiodąca. Żarnowscy nie mieli czasu na przyjmowanie gości. Ale dziś otwarte szeroko wrota ukazywały długą perspektywę głównej alei zakończonej dużym tarasem.

Tadeusz wysiadł pierwszy i wzięwszy żonę jak dziecko na rękę, zaniósł ją na górę do przeznaczonych dla nich pokoi. Zaraz też nadjechali Żarnowscy z Jarockim... i ponieważ była już trzecia godzina, całe towarzystwo zasiadło do stołu.

Przy czarnej kawie Jarocki, patrząc z uśmiechem na Luizę, powiedział:

— No Lu, gniewałaś się wczoraj na mnie, że zniknąłem na pół dnia, zatem na przeprosiny przyjmiesz chyba od dziadka tę białą willę, którą widzieliśmy po drodze... Teraz meblujcie się, kochajcie i starajcie o dzieci... będą miały gdzie biegać.

Ani Tadeusz, ani Lulu nie byli przygotowani na ową miłą niespodziankę, dlatego też dziękowali panu Piotrowi gorąco. Ten przed wieczorem miał zamiar wyjechać, obiecując solennie, że na każdą niedzielę wpadnie.

A po obiedzie młodzi poszli do siebie i usiedli na kanapce pod oknem. Tadeusz patrzył na Luizę z niezmierną tkliwością.

Objął ją i cisnąc mocno do siebie, szepnął:

— Ty mnie bardzo kochasz, Lulu, prawda?

— Bardzo, bardzo... ale jestem jakaś ogłuszona. Nie przypuszczałam, żeś taki bogaty i dlatego dziwno mi, skąd ja biedna, mała Lu wzięłam się tutaj i po co?

— Dlaczego tak mówisz, maleńka, posłuchaj... Wszak kochasz tylko mnie. Nie patrz na to, co nas otacza, to wszystko tylko tak jakby ramki, które można każdej chwili od obrazu odjąć. My zaś będziemy dla siebie tylko. Ja dla ciebie, ty dla mnie. Nie możemy mieć przed sobą żadnych tajemnic... rozumiesz?... absolutnie żadnych, zresztą jeśli mnie kochasz naprawdę, to bezwiednie temu się podporządkujesz. Mnie już nie obchodzi nikt... nikt... tylko ty. No, ucałuj mnie tak gorąco, serdecznie, żebym odczuł, żeś moja... Lulu!

* * *

Słońce już nieco senne chyliło leniwie głowę na błękitną pierś nieba, różowiąc ją swym oddechem. Z drzew płynęły cichymi falami złotoczerwone liście, ścieląc na purpurowej w

zachodzie tafla jeziorka haftowany kobierzec. Skroś zastygłą ciszę zachodu dolatywały z pól pokrzyki pastuchów. Letni gwar ptactwa teraz zamarł w siwiejących oddalach i stary park w powadze zamyślenia żegnał dzień swej chwały, idąc w cienie spoczynku.

Na tarasie siedzieli młodzi Żarnowscy. Tadeusz trzymał żonę na kolanach i tuląc jej głowę do piersi, słuchał cichego szeptu.

— Tak długo... tyle lat czekałam na swoje szczęście i przyszło do mnie w pewien październikowy wieczór. Dostałam ciebie... Kocham cię! Pomyśl, już minął rok, a między nami nie było ani jednej sprzeczki, ani nawet śladu nieporozumienia. To te twoje najdroższe ręce prowadzą małą Lulu po ścieżce życia, nie dając jej się potknąć... Jesteś silny, jesteś śliczny... jesteś mądry, kocham cię... i wiem, że tak będzie zawsze. Nasza miłość musi być tak płomienna, ażeby w jej blasku wzrosła Marysieńka, a ludzie obcy mogli grać skostniałe serce. Jak smutno dziecku, gdy rodzice się nie kochają...

— Dziewczynko moja cudna, bądź spokojna, nie zachwiej się fundamenty naszego domu. Ja cię nie tylko kocham, ale jestem wdzięczny za bezgraniczną twoją ufność i za to, żeś ukazała mi duszę kobiety, żeś nauczyła jej szukać. Ja teraz żyję tylko dla was, moje najdroższe istoty... wszystko, cokolwiek myślę i czynię spogląda na mnie waszymi oczyma.

— A jak przyjdzie jesień naszego życia, Tadziu, będziemy sobie siedzieć tak jak teraz, przytuleni, i wspominać...

Nie odpowiedział... przytulił żonę z całej mocy do piersi i poniósł w głąb jasno oświetlonych pokoi, skąd dochodził monotony śpiew Żarnowskiej, usypiającej pierwszą wnuczkę.

KONIEC